Nr. 13. Lwów, Niedziela dnia 28. Marca 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina**.

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

XIII.

Alleluja!

W chwili, gdy słowo nasze dojdzie Was, szanowni czytelnicy, obchodzić będziemy najuroczystsze święto Zmartwychwstania....

My, którzy lat sto zmartwychwstania oczekujemy, a okupujemy je serdeczną krwią tylekroć przelaną, i łzami sióstr naszych i matek i żon i kochanek — my, którzy d l a zmartwychwstania dajemy pracę całego żywota naszego, i poetów naszych natchnienie, i mędrców naszych wysiłek, i dziejopisów naszych żmudne badania, i rąk tych pracę, co żelazo pługów na broń przekuwała — my, którzy w tem słowie „zmartwychwstanie“ streszczamy całą wiarę naszą i miłość naszą i nadzieję — witamy to corocznie powracające święto stokroć uroczyściej, niż inni, którzy nie mają w s z y s t k i e g o do odzyskania.... I w dniu tym każdemu z nas rodzi się na ustach pytanie: Kiedyż?

Kiedy? Odpowiedź na to wyczerpująca przekracza granice pisma literackiego. Jedną tylko stronę tej odpowiedzi poruszyć możemy.

Co ma zwyciężyć w rzeczywistości — musi poprzód w myśli i uczuciach ogółu odnieść zwycięztwo. Każda walka na ziemi jest — jak na owym obrazie Kaulbacha — odbiciem tylko walki w sferze duchowej toczonej. Kto na tem polu duchowem pokonanym będzie, może tutaj chwilowe odnieść korzyści, ale trwałe zwycięztwo, ale tryumf ostateczny nie jemu przypadnie.

Tego duchowego zwycięztwa czynnikami są: suma rozumów, suma charakterów, suma narodowego poczucia. To pokolenie, w którem się te siły dostatecznie rozwiną, rozstrzygnie wielkie zagadnienie bytu naszego. Tutaj główne zadanie przypadło piśmiennictwu. Zadaniem jego — szerzyć wiedzę, wszechstronną a gruntowną, przyswajać narodowi wszelkie tej wiedzy zdobycze czynione tam, gdzie nas z konieczności wyprzedzić musiano, i starać się o dalszy jej rozwój na rodzimym naszym gruncie, a tem samem powiększać sumę rozumów w narodzie. Zadaniem jego drugiem, przyczyniać się według sił do wyrobienia w narodzie charakterów, przez potępianie wszelakich zdrożności, a stawianie wzorów, w których ślady iść by mogło dorastające pokolenie tak, by wydało kiedyś falangę niezłomną, żadnej nie ulegającą pokusie, nie uznającą nad sobą innego pana prócz obowiązku. Zadaniem jego trzeciem stać czujnie na straży narodowego ducha, odtworzyć całą przeszłość narodu i tak wiernie przed oczyma dzisiejszego postawić pokolenia, by z niej odróżnić mogło istotę narodowego ducha od wszelkich fałszywych naleciałości; krzewić miłość ojczyzny, tę najwyższą, najszczytniejszą cnotę w człowieku; wzmacniać poczucie wspólności rozdzielonych członków jednej a zawsze całej rodziny; wśród trosk i udręczeń drobnostkowych codziennego życia wskazywać niegasnącą nigdy gwiazdę ostatecznego celu naszego...

Ten jest podniosły cel piśmiennictwa naszego — stokroć trudniejszy do urzeczywistnienia, aniżeli zadanie piśmiennictwa u innych narodów. My nie znamy nauki dla nauki samej, literatury dla literatury — sztuki dla sztuki samej — my znamy to wszystko tylko dla owego wielkiego zadania naszego, które każdemu z nas staje żywiej na myśli, gdy przy sposobności dorocznego święta wymawiamy słowo „zmartwychwstanie.“

Nie tu miejsce do rozbioru kwestji, czy piśmiennictwo nasze w zupełności spełnia to swoje zadanie. To pewna tylko, iż w gronie pracowników na tem tak ważnem a tak wdzięcznem polu wcale znaczną jest liczba tych, którzy pojmują doniosłość tego swego powołania. Ale i to pewna, że spełnienie jego w znacznej części zależy od usposobienia czytających tak samo jak kiełkowanie, a dalej rozrost rzuconego w ziemię ziarna, zależy od gleby, która je przyjęła. Żywszy ruch na polu wydawnictw, pojawianie się coraz nowych sił do literackiej garnących się pracy, a zarazem o wiele żywsze ze strony publiczności poparcie, jakiego usiłowania na tem polu od pewnego czasu doznają — napawają nas otuchą, iż zmierzamy ku lepszej przyszłości.

Wytrwania tylko — statecznego w tym kierunku wytrwania, tak ze strony pracowników samych jak i ze strony publiczności. A gdy coraz lepsze i coraz liczniej ziarno padać będzie, a gleba serc i umysłów do przyjęcia ziarna tego skorą będzie i gotową — odrodzenie duchowe stanie się potęgą kruszącą głazy grobowe a święto zmartwychwstania będziem święcić nie samemi tylko jak dzisiaj pragnieniami, nie samą tylko nadzieją, ale i nadzieji tej urzeczywistnieniem. A wtedy tak potężnem „alleluja!“ pod stropy niebios uderzymy, że się od głosu tego zachwieją posady gmachów na nieprawości i krzywdzie opartych...

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

III.

(Ciąg dalszy.)

Potem gderał dalej:

— Coraz gorzej, coraz ciężej. Roboty nie ma, o pieniądze trudno się doprosić. Mało człowiekowi głowa nie pęknie, zkąd tu wziąć na życie. A wszystko tylko patrzy na mnie. Inni mężowie mają z żon wyręczenie, żony także pracują, zarabiają — a tu wszystko tylko na mojej głowie.

— Matka robi, co może — odezwał się Józef stając w obronie matki, bo ona sama na to zdobyć się nie śmiała. Jeżeli od kogo, ojcze, należy ci się wyręczenie i pomoc, to od nas.

— Ja do was tego nie mówię. Wy dopiero dobijacie się losu, dorabiacie się; skoro dojdziecie do czego, wiem, że mi się wywdzięczycie. Ale dopóki nic nie macie, obowiązkiem naszym jest dawać wam i pracować na was. A matka ma tutaj taki sam obowiązek, jak i ja.

— Mnie się zdaje, że czas już wielki, abyśmy o sobie myśleć zaczęli.

— Józef już nawet coś wymyślił bardzo mądrego — odezwał się Jan ze swego pokoju — pozwól mu ojcze wygadać się. To będzie coś bardzo ciekawego. Znalazł sposób wydobycia nas wszystkich z nędzy.

— Może ci się kto ofiarował z pożyczką? — spytał ojciec skwapliwie — co? — i przysunął się do Józefa.

— Coś lepszego jak pożyczka, mój ojcze. Postanowiłem nie być ci już więcej ciężarem i wziąć się do pracy i to do pracy, któraby zapewniła trwały byt i mnie i nam wszystkim.

— Nic nie rozumiem.

— Zaraz się jaśniej wytłumaczę. — Widzę to dobrze, że położenie nasze coraz gorsze, że tobie, mój ojcze, coraz ciężej idzie.

— To prawda, to prawda, — powtarzał jakby do siebie Dylski, trąc czoło poorane zmarszczkami.

— Gdybym poszedł na medycynę — ciągnął dalej Józef.

— Jak to chcesz nie iść? — zawołał żywo Dylski.

— Wysłuchaj mnie cierpliwie, ojcze. — Medycyna wymaga pięciu lat ciężkiej pracy, w których nie tylko bym nie mógł być ci pomocnym, ale może nawet byłbym ci ciężarem.

— Pracowałem więcej lat na was — to mogę pomęczyć się tych kilka.

— Przypuśćmy, że ukończę medycynę, że ukończę ją jak najlepiej, do czego jednak wcale nie czuję ani zdolności, ani usposobienia, ale przypuśćmy, że zostanę w końcu doktorem, — to kto mnie zapewni, że praktyka da mi takie dochody, abym mógł siebie i was wyżywić?

— A wieleż to mamy doktorów, co byli biedakami większymi od ciebie, a dziś są panami.

— Są to szczęśliwe wyjątki, a przy ścisłem obliczeniu na takie przypadki spuszczać się nie można. Sam mógłbym postawić los mój na kartę; ale tu idzie i o was. Tu nie można ryzykować. Doktorzy, których mi ojcze stawiasz na przykład, dorobili się majątku w okolicznościach całkiem odmiennych, niż są teraz. Doktorów teraz coraz więcej. Wydział medyczny co rok po kilkunastu ich dostarcza i dlatego coraz cięższa ich egzystencja. Takie przeludnienie ma miejsce nie tylko między lekarzami, w innych zawodach toż samo się dzieje, a może nawet jeszcze gorzej. Cóż z tego za skutek? — Oto proletarjat inteligencji, — ludzie wykształceni zostają bez zajęcia albo z zarobkiem tak małym, że ten im nie zabezpiecza ich jutra, nie mówiąc już o przyszłości żony i dzieci, której zapewnić nie są w stanie. Porównajmy teraz dostatek kupca lub innego przemysłowca z funduszami urzędników lub profesorów uniwersytetu a będziemy widzieć ogromną nierównowagę, jaka panuje między zasobami umysłowemi i pracą z jednej strony, a zarobkiem i nagrodą z drugiej, Jakiż tego powód, że mozolna tyloletnia naukowa praca bywa stosunkowo tak źle nagradzaną, tak nie odpowiednio do swej wartości? — Oto dla tego, że wszyscy pchają się do tych zajęć, które przyzwyczailiśmy się uważać za więcej honorowe, za więcej odpowiadające ambicji naszej. Dawniej szlachta rwała się do wojennego rzemiosła, gardząc rzemiosłami i przemysłem i zabijanie ludzi uważała za więcej honorowe zajęcie, niż żywienie ich i opatrywanie. Dziś w zasadzie zmieniliśmy przekonania, ale w praktyce trwają jeszcze ze szkodą społeczeństwa i nie jeden woli całe życie przebiedować jako lichy urzędnik, niż żyć w dobrobycie jako rzemieślnik lub kupiec.

— No skończ już raz te deklamacje — odezwał się Jan zniecierpliwiony tą długą przemową brata — czegóż chcesz ostatecznie dowieść? Że doktorzy powinni zostać szewcami, a adwokaci wziąć się do łokcia i wagi. Czy tego chciałeś dowieść?

— Nie myślę wcale o tem, aby ktoś porzucał zatrudnienie które już ma, któremu poświęcił lata pracy; ale mi idzie o to, aby młodzież ucząca się nie uważała kilku zawodów jako jedyny cel swej nauki i nie szła do tego celu mimo wszelkich przeszkód, mimo braku funduszów i zdolności, ale raczej aby umiała zakreślić sobie skromniejsze i bliższe cele których osiągnięcie i łatwiejszem i pożyteczniejszem by było dla społeczeństwa. Przez to świat może mniej miałby złych doktorów, lichych adwokatów, ograniczonych urzędników, a więcej rozumnych i wykształconych kupców, rzemieślników, rolników. Rozkład pracy byłby wtedy odpowiedniejszy a dobrobyt ogólny by się podniósł.

— Czy mało jeszcze masz rzemieślników? — spytał ojciec, któremu z twarzy można było wyczytać, że cała ta teorja syna nie przypada mu do przekonania.

— Jest ich dosyć; ale to są przeważnie ludzie, którzy dla tego tylko zostali rzemieślnikami, że czem innem być nie mogli; stan rzemieślniczy rekrutuje się u nas przeważnie z odpadków i resztek; z ludzi, którzy bez należytego przygotowania i fachowego wykształcenia biorą się do pracy i dlatego rzemiosła u nas nie rozwijają się. Rodzice oddają dzieci do rzemiosł dlatego że się uczyć nie chcą, a tu właśnie idzie o to, aby się uczyły na to, żeby zostać rzemieślnikami. W taki sposób i rękodzieła by się podniosły u nas i różnica stanów i wykształcenia zmniejszyłaby się; społeczeństwo ułożyłoby się do pewnej równowagi. Taki jest plan, któryśmy dziś ułożyli i nad którym długo i szeroko rozprawialiśmy.

— Kto? — spytał ojciec.

— Kilku młodych ludzi, — kolegów moich.

— Znać że byli młodzi, bardzo młodzi — odezwał się Jan — gdy taki niedowarzony projekt mógł się ulęgnąć w ich głowach.

— W czem go znajdujesz niedowarzonym?

— Cały nie ma sensu, bo jest przeciwnym naturze człowieka, która nie pozwala mu przestać na małem, zamknąć się w ciasnym zakresie; ale pcha go coraz wyżej.

— Jeżeli nauczymy się cenić każdą pracę, jeżeli stan rzemieślniczy podniesiemy, a rzemiosła rozwiną się wysoko; wtedy dojście do doskonałości w nich będzie także wznoszeniem się w górę, postępem.

— I wy będziecie apostołami tego nowego postępu? hę?

— I zarazem wykonawcami, — przykład to najlepszy nauczyciel.

— I jakiż rodzaj rzemiosła obrałeś sobie? — spytał Jan drwiąco — Zapewne przez sympatję dla panny Tekli obrałeś kunszt szewiecki.

— Gdybym nie umiał innego, obrałbym go bez wątpienia. Żadne zajęcie uczciwe nie hańbi. Ale że stolarstwa nauczyłem się przy ojcu i znam je dobrze, więc zostanę stolarzem.

— Zwarjowałeś, — czy co? — zawołał gwałtownie Dylski i zerwał się ze stołka. — Więc na to pracowałem, mozoliłem się, nakładałem na ciebie, bym się takiej pociechy doczekał? Stolarzem, mój syn stolarzem — piękny mi honor.

— Wszak ty sam ojcze nim jesteś, Dlaczego uczysz nas gardzić rzemiosłem, w którem pracowałeś, które dało ci możność wychowania nas?

— Na tom pracował, abyście wy nie potrzebowali być tem, czem ja jestem. Gdybym miał był naukę, jak wy, pewnie byłbym czem innem. To prawda, że z pracy rąk moich wychowałem was, ale czy ty wiesz, co ja się musiałem namęczyć, nakłopotać, co znosić upokorzenia i poniewierki? I cóż ja znaczę między ludźmi, jakie moje stanowisko, a wreszcie spytaj się, co mam, czegom się dorobił? I ty chcesz tak samo pchać biedę z dnia na dzień i nigdy nie wyjść z tego nędznego położenia? I to się ma nazywać poprawą losu i tem chcesz pomódz sobie i nam? — Dobra mi pomoc.

— Pozwól ojcze, bym ci się lepiej wytłómaczył a pewny jestem, że zgodzisz się na mój plan. To prawda, że praca twoja, choć ciężka, nie przynosi ci takich zysków, jakie nieść ci powinna. Ale jakiż tego powód? — Oto że zależny jesteś od takiego Dawida Mendla i innych przedsiębiorców, którzy cię wyzyskują, bo wiedzą, że nie masz sposobu pozbycia łatwego twych wyrobów i musisz czekać na nich, że nie możesz wyrabiać mebli w większej ilości i pozbywać ich hurtownie, bo nie posiadasz dość pieniędzy do zakupienia materjału, że musisz na każdą robotę zaciągać pożyczkę. Materjał kupowany cząstkowo wypada ci stosunkowo drożej; lichwa pochłania dochody twoje i przez to nie możesz nigdy wyjść z przykrego położenia i zależności.

— A ty może wynalazłeś jaki cudowny sposób na ominięcie tych trudności. Tobie się zdaje, że będziesz umiał lepiej chodzić koło interesów, niż ja, że łatwiej znajdziesz kredyt?

— Ja sam może nie, ale jeżeli nas będzie kilku, kilkunastu albo i więcej, którzy złączą się do wspólnej pracy, to i kredyt się znajdzie i praca nasza będzie mniej zależną a więcej produkcyjną. Mam więc zamiar założenia stowarzyszenia stolarzy. Naprzeciw kapitałom pieniężnym, które nas wyzyskują i przytłaczają, chcę postawić kapitał pracy i przemysłu. Dziś przemysł fabryczny produkcjami swemi pobił, przewyższył i wyparł pracę warstatową, konkurencja w tych warunkach stała się niepodobną;

potrzeba więc i nam zdobyć się na fabryki, na hurtowną robotę, inaczej upadniemy.

— I ty myślisz, że cechy będą patrzeć na to z założonemi rękami, że który z majstrów przyłączy się do takiego stowarzyszenia? — spytał Dylski.

— Jeżeli im wykażę korzyści, jakie odniosą z tego; to czemuż by nie mieli przystąpić?

— Czemu? — Bo ich ojcowie nie robili tego i oni robić nie będą. Ja ich znam trochę lepiej, niż ty i wiem, jak każda nowość ich przestrasza. Czy myślisz, że ja nie probowałem także nakłonić ich do pewnych zmian w zapleśniałych ustawach cechowych, które zamiast pomagać nam, krępują tylko i uciskają. Było to po moim powrocie z wędrówki; za granicą już rzeczy poczęły się zmieniać, wolność zarobkowania kiełkowała już tu i owdzie. Chciałem więc i u nas coś podobnego rozpocząć; tłómaczyłem im, po co mamy opłacać się drogo cechowi, zalewać gardła opojom i tuczyć ich stypami, gdy tych pieniędzy można korzystniej użyć w interesie. Praca jest naszą własnością — mówiłem im — więc powinniśmy domagać się, żeby nam było wolno pracować, gdzie chcemy i jak chcemy; tego wymaga słuszność. No i cóż zrobiłem? Wielu w sekrecie mi potakiwało, publicznie nikt nie śmiał wystąpić ze mną i zostałem sam z moim projektem i ciebie tak samo zostawią, gdybyć ich do czegoś podobnego namawiał.

— Czasy się zmieniły, ludzie ci dojrzeli umysłowo i patrzą trochę inaczej teraz na świat. Zresztą choćby mi się nie udało nikogo namówić, będzie nas i tak dwóch — damy początek a przykład nasz zachęci potem innych.

— A kogóż masz drugiego?

— Wszak ty ojcze będziesz ze mną.

— Nigdy, nigdy, — zawołał żywo Dylski. Ja nie chcę, nie pozwolę na to, żebyś ty miał znowu wracać do tego stanu, z którego ja chciałbym jak najprędzej uciec, wyzwolić się. Jeżeli ci idzie o fundusze, jeżeli boisz się niedostątku, to będę pracował dwa razy tyle, zapożyczę się, Bóg wie co zrobię, aby wam dopomódz; tylko nie niweczcie mi tych nadziei, któremi żyję lat tyle, dla których pracowałem tak ciężko. Wy musicie wyjść na ludzi, musicie wyjść wysoko, musicie, koniecznie.

Mówił te słowa z ogniem, roznamiętniony i wzburzony.

— Pozwól mu ojcze — odezwał się znowu Jan — niech sprobuje urzeczywistnić swoje wzniosłe, filantropijne wymysły; zobaczymy jak długo w nich wytrwa. Jestem pewny, że na pierwszym kroku potknie się o brak pieniędzy. Z gołemi rękami nic nie poradzi.

— Postarałem się o fundusze na początek — rzekł Józef — Jeden z zamożniejszych kolegów moich sam ofiarował się z pożyczką, której spłaty rozłożymy na dość długi przeciąg czasu. Widzisz więc, że nie po marzycielsku zabieram się do urzeczywistnienia mych zamiarów, i mam nadzieję, że podołam temu.

— Ale ja na to nie pozwolę, ja ojciec, czy rozumiesz? — Tyś nie jest pełnoletni, nie możesz rozrządzać sobą. A ja użyję całej władzy, jaką mi prawo nadaje, by cię wstrzymać od tego głupstwa. Zobaczymy, czy będziesz miał odwagę iść wbrew woli ojca, występować przeciw mnie.

— Szanuję twoją wolę ojcze, tylko nie w rzeczach tyczących się mego losu. Tu ja decyduję.

— Zobaczymy.

— Spytaj się go ojcze, dlaczego mu tak pilno wziąć się do rzemiosła? — odezwał się Jan.

— Dlatego, że położenie nasze tego wymaga — odrzekł Józef — to dość wyraźny powód.

— Tak, to pozór tylko, bo za tem kryje się co innego.

— Cóż takiego?

— Kobieta. Pannie Tekli pewno pilno do ślubu i za długo by jej było czekać, aż skończysz medecynę.

— Co? Ta szewcówna wyobraża sobie, że będzie twoją żoną.

— Tekla jest dzieckiem rzemieślnika, równie jak ja — odrzekł Józef spokojnie ale z naciskiem.

— To niczego nie dowodzi. Ty możesz być panem, możesz starać się o najlepsze szlachcianki, a ona zawsze będzie tylko szewcówną.

— Ktokolwiekby ona była, czy szewcówna czy hrabianka nawet, idąc za mnie nie będzie niczem więcej tylko żoną moją.

— Ty śmiałbyś to zrobić? — Ja bym cię... — tu podniósł w górę zaciśnięte pięści i oniemiał z oburzenia i gniewu.

— Po co się unosisz, ojcze, szkoda słów. Niech sobie gada, co mu się podoba zobaczymy, kto postawi na swojem — rzekł Jan.

— Masz słuszność. Szkoda słów na głupie gadanie — powiedział Dylski, i machnąwszy ręką wszedł do drugiego pokoju i zatrzasnął z impetem drzwi za sobą.

Przez całą tę scenę stara Dylska siedziała strwożona, zcierpnięta cała. Bała się odezwać, by się nie narazić mężowi i prawdę powiedziawszy wielu rzeczy nie rozumiała z tej rozmowy i trudnoby jej było osądzić kto ma słuszność, jednak przez sympatję stała po stronie syna i instynktowo czuła, że Józio ma słuszność; ale z drugiej strony obawiała się by się nie naraził ojcu, by nie przyszło do większego starcia. Toteż skoro Dylski wyszedł do drugiego pokoju odetchnęła i cicho poczęła prosić syna:

— Daj pokój, nie drażnij ojca, on taki gwałtowny.

— Czy i ty matko nie pochwalasz moich zamiarów? — spytał ze słodyczą syn.

— Ja się nie rozumiem na tem, ale — tu zniżyła głos z obawy, by jej mąż nie słyszał — ja wierzę, że mój Józio nie chciałby robić nic złego i że to, co zrobi będzie dobre.

— Dziękuję ci matko za tę wiarę — rzekł Józef całując ją w rękę — Zobaczysz że się nie zawiedziesz na mnie. Będzie nam wszystkim dobrze.

— Żeby Bóg dał — dodała staruszka podnosząc oczy nabożnie w górę.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Uderzenie jakkolwiek lekkie, wstrząsnęło wszystkich. Było tak niespodziewane, o tak niezwykłej godzinie. Grzechotka nocnego stróża ogłaszała już dziesiątą po ulicach. Wizyta więc o tak spoźnionej porze mogła zdziwić i przestraszyć.

— Wszelki duch pana Boga chwali — wyszeptała trwożnie Dylska.

— Kto tam? — spytał Józef.

— To ja. Czy jest w domu pan Dilski. Czy może szpi już? — odezwał się głos za drzwiami akcentem żydowskim.

— To Mendel — rzekł Józef uspokajając matkę.

Dylski usłyszał również głos żyda w drugim pokoiku i zdziwił się także jego przybyciem, tem więcej, że przed tygodniem rozstali się wcale źle ze sobą; Dylski rozgniewany jego postępowaniem szacherskiem, nagadał mu impertynencyj i zaklął się, że więcej mu robić nie będzie. Żydowi nie bardzo chodziło o to, bo miał innych robotników poddostatkiem, ale Dylski stracił na tem, bo przez to i robota się urwała i nie było do kogo udać się o pożyczkę w nagłej potrzebie. Mendel wprawdzie umiał wycisnąć grubą lichwę za pożyczone pieniądze, wyżyłował do ostatka; ale ostatecznie pożyczył, a to było wielką pomocą Dylskiemu w jego kłopotliwem położeniu. Żałował więc potem swej porywczości i radby był załagodzić tę sprawę i wejść napowrót z Mendlem w interesa, bo go potrzebował. Nie cierpiał żyda dlatego, że musiał być od niego zależnym, wściekał się i burzył nieraz przeciw niemu w głębi duszy jak dziki zwierz w żelaznej klatce przeciw swemu pogromcy, ale musiał mu ulegać, by nie umrzeć z głodu. Toteż zjawienie się Mendla choć o tak niezwykłej porze było bardzo na rękę Dylskiemu, mógł być pewnym że ważny interes go tu sprowadza i wyszedł z ciemnego pokoiku naprzeciw niemu.

— Dobry wieczór, panie Dylski. — odezwał się żyd przyjaźnie, ale protekcyjnie.

— Prędzej dobra noc — mruknął Dylski trzymając się w roli zagniewanego

— Dopiero dziesiąta. U nas ludzi interesu to się na to nie uważa. Zawsze jest dobra pora, kiedy idzie o zrobienie interesu. A ja tu właśnie z dobrym interesem przychodzę, panie Dilski.

— Jest na to w dzień czas. Ja po nocach interesów nie robię

— No, a jak ja jutro jechać muszę na jarmark, to co? To ja musiał przyjść dzisiaj. Ja mogłem iść do Sliskowski, do Majerkiewicz, do Rybkowski, i do Bóg wie kogo, ale ja wolał przyjść do pana, panie Dylski, bo to przecież nie od dzisiaj się znamy i dałem panu już dobry grosz zarobić. Czy nie?

— To jest chciałeś pan powiedzieć, żeś już porządnie mnie zdarł i wyzyskał.

— Zdarł, zdarł, kto tu kogo zdziera? Przecież ja muszę także coś zarobić, od czego ja kupiec? Ręka rękę myje. I gdybyś pan nie był taki gorączka, panie Dylski, to my by mogli być zawsze dobremi przyjaciółmi i nie jeden dobry zrobić ze sobą jeszcze interes.

— O cóż chodzi? — spytał Dylski,

którego ta fałszywa serdeczność żyda już niecierpliwość i irytować zaczynała.

— Ja mam dla pana robotę, panie Dilski, bardzo dobrą robotę. Pan możesz grubo zarobić na tem.

— Cóż to za robota?

— E, głupstwo, małe bagatelką, parę sekretarzyków, ja tu panu przyniosł rysunków na to, pan to będzie umieć potrafić, bo pan to majster na takie rzeczy, panie Dilski — i poklepał go poufale po ramieniu.

Dylski z zachmurzonem czołem przejrzał rysunki i rzekł:

— A, teraz wiem dlaczegoście tu przyszli, nikt się pewnie nie chciał podjąć tak trudnej roboty, a po fabrykach nie wyrabiają takich.

— Ja u nikogo nie był, ja do pana jak w dym prosto. Jak tylko dostałem tego robotę, to ja sobie zaraz byłem powiedzieć: to nikt inny temu nie zrobi, tylko pan Dilski. Sliskowski on by to wziął z pocałowaniem ręki, on nawet był u mnie prosić o tę robotę.

— I byłby sfuszerował.

— Byłby zrobił za byle co; a ja panu wolę zapłacić, bo ja pana, panie Dilski...

— Wieleż pan dajesz za sztukę?—spytał przerywając mu Dylski...

— No, wiele będziesz pan sobie cenił?

— Po ośmdziesiąt guldenów za sztukę.

(C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. WDOWISZEWSKI.

(Ciąg dalszy.)

III.

Trochę dawniej odtworzył „Gerwazego" i „Protazego" w dwóch obrazach olejnych Walery Eljasz. Jakkolwiek wysoko cenię tego utalentowanego, a nadewszystko, sumiennego artystę, muszę powiedzieć, że mu sie obydwa obrazy nie udały. Ani koloryt, ani troskliwe wykonanie — pomijając kilka małych błędów modelowania, zwłaszcza rąk — nie zastąpią duchowego braku w twarzach woźnego i klucznika. W obu twarzach jest jakaś niepolska flegma i rozlazłość, a mimo że woźny oddany jest w chwili, gdy czyta pozew hrabiemu, nic a nic w nim nie czuć tej rezolutności i energji, jaką ten starzec przy spełnianiu swego urzędu okazywać musiał, sądząc z charakterystyki jaką nam o nim dał poeta. Nie lepszy klucznik Gerwazy. Z obrazów tych istnieją fotografje; oryginały w posiadaniu prywatnem.

W roku 1870 wykonał Bolesław Łaszczyński, naówczas początkujący artysta, obrazek olejny, ilustrujący chwilę, gdy pogodzeni

.....na przyżbie domu usiedli dwaj starce
Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce.
. . . .
Tabakierką z kory
Częstując się nawzajem, toczą rozhowory:
„Tak, tak mój Protazeńku" — rzekł klucznik Gerwazy;
„Tak, tak mój Gerwazeńku" — rzekł woźny Protazy.

Obrazek pokazuje, że artysta pojął charakter obu postaci i ducha poety, z którego treść bierze, ale wykonanie zdradza bardzo początkowego malarza. Nałożenie farb wiele pozostawia do życzenia; kolory nie jednoczą się harmonijnie, dla tego na pewną odległość obraz wydaje się pstrocizną; brak mu plastyki, a zwłaszcza światła. Rysunek staranny i elegancki. Jaki los spotkał tę ilustrację — nie wiem.

Jeżeli kto pochlebić sobie może, że objawy ducha polskiego i objawy tej szlacheckiej junackiej fantazji, jaką się odznaczali przodkowie nasi oddać potrafi — to z pewnością Juljusz Kossak. Przeszłość szlachecka znalazła w nim wybornego przedstawiciela; jego postacie noszą zawsze piętno prawdziwie polskiego ducha; widać w nich szczerość, dobroduszność, jowialność i odcień humoru; a jeśli mi porównania za złe nie weźmiecie, nazwałbym go Kaczkowskim w malarstwie, tak się wżył w te minione czasy, które odtwarza, tak prawdziwie maluje narodowe typy.

Spojrzyjcie np. na jego akwarelę przedstawiającą „Assesora z Rejentem, Kusym i Sokołem." Jakkolwiek nie jest ona wykonaną z tą troskliwością, jak inne akwarele tego artysty, jednak co się tyczy pochwycenia typów, jest wyborną ilustracją Mickiewiczowskich postaci. Wszystko w niej żyje, mówi, nawet te dwa psy nieśmiertelne — ów Kusy i Sokół.

Drugą scenę z Pana Tadeusza wykonał Kossak jako rysunek; zatytułowana ona: „Hajże na Soplice!" Jest to chwila, gdy podburzona mową Gerwazego szlachta, tłumnie rzuca się do koni, z okrzykiem „hejże na Soplice!" Można sobie wystawić, co to za bogaty materjał dla takiego artysty jak Kossak. Tyle postaci a tak różnych; każdą uchwycić w jej właściwości; zaczarować na papier tych Kropicieli, Chrzcicieli, Konewki, Brzytewki i Scyzoryki; oddać tę junakierję zaściankowych bohaterów, ten tumult wartogłowy — to nie lada zadanie. A przecież artysta mimo niewielkich rozmiarów rysunku potrafił oddać ducha i charakterystykę poety; każda postać na rysunku, to stary nasz znajomy. Szkoda. że artysta jakoś z niechcenia traktuje rysunek; w omawianej ilustracji znajduje się kilka błędów, które zwracają uwagę i rażą. W każdym razie ilustracje te należą do najszczęśliwszych odtworzeń z Pana Tadeusza.

Podobną chwilę wybrał do swej ilustracji akwarelowej „Polityka Gerwazego" Walery Eljasz. Między szlachtą zaściankową stoi klucznik Gerwazy oparty na swym „scyzoryku" i wypowiada swoje zasady polityczne.

. . . . Gdy cesarz Francuski —
Rzekł klucznik — ztąd przyciąga, a ztamtąd Car Ruski,
Więc wojna; car z cesarzem, królowie z królami
Pójdą na łby, jak zwykle między monarchami.
A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić, my duśmy mniejszych, każdy swego,
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali;
Jak zaczniem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita!

Akwarela ta wykonaną jest z wielkiem zrozumieniem poety; kompozycji i charakterystyce zewnętrznej nie można nic zarzucić; ale w postaciach za mało jest życia i tej poetycznej rubaszności, jaką tak genjalnie odwzorował poeta.

Więcej ożywioną jest druga ilustracja tegoż artysty, wykonana piórem, przedstawiająca chwilę gdy klucznik na czele szlachty wyszedł z domu Maćka Dobrzyńskiego, a

Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął,
I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: „głupi!"
A tymczasem się szlachta do Hrabiego kupi.

Postacie mają dużo życia i ruchu; sama figura Maćka, wyglądającego oknem jest bardzo dobrą, chociaż twarz powinnaby mieć więcej pogardliwy wyraz. Tak poprzednia akwarela, jak ten rysunek piórkiem są wykonane starannie i delikatnie. Ilustracje te, zaledwie ujrzały światło dzienne wystawy, przeszły na własność hr. Jana Działyńskiego. Istnieją kopie fotograficzne.

Na wymienionych obrazach i rysunkach kończą się ilustracje do Pana Tadeusza. Zdaje mi się, żem nie pominął żadnej ze znaczniejszych.

Wypada mi przejść do Grażyny — do tej „z cór nadniemeńskich pierwszej krasawicy" — co „niewieście zabawy gardząc, twardego imała oręża."

Artysta, który ma zamiar ilustrować jakąkolwiek scenę z tego poematu, winien się dobrze obliczyć z siłami. Łatwiej ilustrować upoetyzowane życie codzienne w Panu Tadeuszu, jak poetyczne, bohaterskie postacie w Grażynie. Oddanie samej np. Grażyny w myśl poety, jest nader trudnem. Odtworzyć postać kobiecą z charakterem męskim, kształtami męskiemi, a przecież pełną kobiecości; zlać w jedno: siłę męża i delikatny wdzięk niewieści — słowem, odtworzyć prześliczną Grażynę Mickiewicza, jest to zadanie, którego się nie podjął nawet żaden pierwszorzędny artysta.

Wobec tego — nie wiem co skłonić mogło Józefa Jaroszyńskiego do wykonania olejnego obrazu przedstawiającego: „Powrót Grażyny z boju." Natchnienie, wywołane wrażeniem poematu? Wątpię, bo go w obrazie nie znać. Odczucie poety? Nie sądzę, gdyż wówczas inaczejby wyglądała jego Grażyna. Powstanie zatem tego obrazu przypisać muszę przypadkowi — jeśli nie lekkomyślności artysty. Widocznie posiadał artysta studjum trzech rozbieganych koni, ktoś mu poradził osadzić na nich Litawora, Grażynę ranną i Rymwida; malarz posłuchał rady i oto ilustracja do poety gotowa. O charakterystyce postaci poematu nie ma mowy; jest tam zbrojna kobieta i dwóch zbrojnych rycerzy, ale ani tamta jest Grażyną, ani ci Litaworem i Rymwidem. Gdyby choć konie, gwoli których ten obraz powstał, były poprawnie oddane; ale nawet na to nie zdobył się artysta. Byłbym o tym obrazie nie pisał tak obszernie, gdyby nie wypadało choć mimochodem skarcić tę lekkomyślność, z jaką niektórzy artyści swe niedonoszone płody, na widok publiczny podają, jako ilustracje do poetów. Jest to ubliżenie sztuce i publiczności, a profanacja narodowej poezji.

Konrad Wallenrod więcej ma ilustratorów i szczęśliwszych.

Na wystawie tegorocznej w Krakowie znajdował się rysunek piórkiem wykonany przez Walerego Eljasza, a przedstawiający „Konrada z Halbanem," do słów:

. . . . Stary Halban siada,
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnej wymowy,
. . . .
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.

Halban siedzi na krześle, ubrany w habit mnicha i patrzy w Konrada, który stoi przed nim, obok stołu, w lekkiej zbroi. Trzeba się dłużej wpatrzyć w ten rysunek, aby ocenić jego przymioty. A ma liczne. Najpierw obie twarze są typowe i oddane w duchu poety. Postać Konrada nosi na sobie znamię tego demonizmu, jaki jest sprężyną jego czynów; w twarzy widna burza wewnętrzna, gwałtowność charakteru i gdyby mu był artysta nadał trochę więcej majestatu zewnętrznego, jaki (jeśli dobrze rozumiem cha-

rakter Wallenroda) musi być cechą „mistrza“ Konrada, przyklasnąłbym tem ochoczej utworowi artysty. Kto się chce przekonać, z jaką sumiennością ten malarz pracuje, niech spojrzy na omawianą ilustrację. Całe otoczenie, ubiór obydwu postaci, są oddane z taką ścisłą archeologiczną i historyczną dokładnością, żeby najuczeńszy badacz nie znalazł nic do zarzucenia. Już to największy nieprzyjaciel nie może odmówić artyście sumiennych studjów i pracowitości.

(C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. Koszczyca.

(Ciąg dalszy.)

Wjazd na most okazał się niemniej ciekawym jak i spust do niego. Rzeka była w tem miejscu szeroką przeszło jedenaście sążni, a inżynier krajowy rzucił przez tę przestrzeń jeden tylko łuk półkolisty. Następstwem tego było to, że styczne, po których ułożono pomost, złamały się na środku w dach śpiczasty. Widocznie budowniczy, naśladując stare Rzymian mosty, miał nie tyle na celu całość nóg przechodniów ile symetrję geometryczną. Tym sposobem stoki skał nadbrzeżnych i most tworzyły piękne W. Towarzyszący nam inżynier zaczął go oglądać z dołu i z góry, robiąc przytem najdziwaczniejsze ruchy i powtarzając bez przerwy: „Sapristi! pristi!“

— Kochany Abricot! — donośnie odezwał się kapitan — patrząc w tej chwili na ciebie, możnaby sądzić, że szukasz swego kolegi, który ozdobił tę pustynię tak pięknym pomnikiem. Widocznie pragniesz nauczyć się od niego sekretu, którym zmusza się ludzi do pamiętania o sobie....

— Zgadłeś, kapitanie—odparł p. B.— w rzeczy samej szukam go, i dziwi mnie tylko, że go nie widzę u szczytu tej szubienicy, którą wystawił zamiast mostu.

— Ne dijor, ne dijor? (co mówi) — ciekawie wtrącił Halil-aga, chcąc usłyszeć prawdziwe zdanie o arcydziele, podziwianem w kraju, które pochłonęło kilkadziesiąt tysięcy piastrów; gdy mu powtórzono słowa francuskiego inżyniera, musnął się szeroką dłonią po czole i dodał:

— Maszałła! rozum twój znalazł przecie klucz do prawdy i poznajesz, że nie dla nas pisana konstytucja! Powiedziałeś to samo, co uczynił przed laty wali Trebizondy, Halil-basza, za którego czasów nie słyszano jeszcze o konstytucji i dlatego „czapkinom“ (oszustom) nie przebaczano. Słowo, a w ślad za niem czyn — taki był jego zwyczaj, który pewnego razu wypadł niekoniecznie przyjemnie dla inżynierów trebizondzkich. Posłuchajcie tylko. Trebizonda nie miała wody i mieszkańcy jej radzili długo nad tem, aż na ostatku — nic nie uradzili jak to u nas zwykle bywa. Wtedy wali podjął się sam załatwić tę sprawę i w tym celu kazał stawić się przed sobą wszystkim „kałfom“ (inżynierom) jacy się w mieście znajdowali. Gdy się zebrali, zapytał — czy potrafią zbudować wodociąg, za którego pomocą dałoby się sprowadziś wodę do picia z Kosz-Ogłan, o milę przeszło od miasta? Kałfy bez namysłu odpowiedzieli, że potrafią. Wtedy spisano umowę, a pasza dodał od siebie: że da każdemu z nich—a było ich ośmiu,— prócz zapłaty, po jednej jeszcze kiesie*) w nagrodę, jeśli dobrze wywiążą się z podjętej roboty, w razie zaś przeciwnym, każe im z szubienicy zabrać swe pieniądze. Zadrżała skóra na gjaurach**), ale co raz powiedziano nie mogło być odwołanem: rozpoczęli więc robotę. Gdy cały wodociąg był już gotów i należało tylko puścić wodę do niego, wyszedł wali za miasto, gdzie go czekał duży namiot a przed nim ośm szubienic w rząd postawionych, pod każdą zaś leżała kiesa złota. Na strzał armatni miano przebić ostatnią zaporę ziemi i puścić wodę. Strzał padł, ale natychmiast i straż otoczyła kałfów. Czekano długo, ale wody jak nie było tak nie było w wodociągu, pomimo nawet posłanego po nią posłańca konnego, który przesiadając z konia na koń, wkrótce zwiastował walemu, iż zapora ostatnia istotnie usuniętą została. Na tę wieść zakłębiła się woda — tylko nie w wodociągu lecz w baszowskim nargilu. Skinął basza ręką i straż przyprowadziła przed niego winowajców. „Strzała puszczona z łuku nie wraca nazad — powiedział — ja też muszę słowa mego dotrzymać: tam oto leżą przyrzeczone pieniądze, idźcież je teraz zabrać!“ Znowu skinął ręką i ośmiu czapkinów zawisło w powietrzu, a pieniądze powróciły do skarbu padyszacha. Tak to bywało u nas dawniej! A dzisiaj, srom na głowy nasze! nie tylko szubienicy na oszusta nie postawisz, ale jeszcze musisz mu zapłacić, za to że cię okpił. Haj! widać, bliski koniec świata.

Całe opowiadanie widocznie najlepsze zrobiło wrażenie na nadinżynierze, który słuchając zapisywał rozmaite cyfry, potrzebne do postawienia nowego mostu. Wierząc zaś w opiekę ambasad i konsulatów, dalekim był od jakiejkolwiek obawy. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Żaden ludzki głos nie przerwał więcej ciszy uroczystego pochodu, któremu wysilenie i zmordowanie, połączone z niebezpieczeństwem dodawało szczególnej powagi. W górze tylko nad głowami naszemi, niby lepsza zapowiedź, świecił purpurowy odblask zachodu, a w dole z ciemnego mroku huczał biały nurt wody.

Na oświetlonem miejscu kończył się nasz wschód, a gdy jeźdźce wypływali z cienia byli podobni do weselnego orszaku sprawiedliwych, wydobywających się z głębin państwa „darwendów“ (piekieł) w świetle progi pałacu Amszaspandów. Za nami widać było morze jak roztopioną taflę purpury, okoloną ramą czarnego lądu, który najświetniej wyglądał na ostrym przylądku, gdzie leży Kierasunda. Od wspaniałego widoku nie mogliśmy oczu oderwać.

— Ołau! łau! łau! łau! — huknęli naraz nasi przewodnicy i echo odbijając się w tysiącznych kierunkach, zamąciło spokój dotychczasowy.

Nasi przewodnicy krzyczeli bez przerwy, a wkrótce do ich głosów przyłączyła się trąbka kapitańska, zwiastująca bliskość kresu naszej podróży. Turcy nawoływali mieszkańców sąsiednich gór, aby znosili mleko, jaja i inne specjały, ale ich wezwania były dla nas nieco zagadkowe, ponieważ oko nie tylko obcego człowieka, lecz nawet jakiegokolwiek mieszkania nie mogło dopatrzeć. Wkrótce atoli muły i konie zarżały, bo za załomem skał ukazał się „han“ czyli po naszemu zajazd.

*) „Kiesakcze“ 10 t. piastrów.

**) Wyraz ten niegrzeczny stosują Turcy tylko do swoich chrześcijan, ale nie do Frenków.

Był to han Genisz-Tibi, cel całodziennej naszej podróży.

Przytułek ten, miał szare ściany z cegły niewypalonej, dach nieokreślonego pochodzenia, i stał samotnie na malutkiej płaszczyźnie. Ubożuchny jego widok nie tylko raził ale nawet obrażał dumę europejską. Zapewne by zaspokoić jej wymagania jeden z naszych Francuzów wdrapał się na dach, na którym jak zdobywca zatknął sztandar turecki.

Wkrótce dał się czuć ponętny zapach cebuli smażonej, przyprawy do znakomitej soupe à l'oignon, i usłyszeliśmy brzęk muzułmańskich saganów napełnionych mlekiem. Czekała nas więc smaczna wieczerza, a po niej słodki sen....

Czarne wieko nocy zakryło wkrótce ohydę naszego gjaurskiego sabbatu, a kłęby mgły wydobywające się z dna doliny usiłowały tem lepiej osłonić zakażony han. Jęki puszczyków i skomlenie szakalów, były jedynym głośnym, jakkolwiek bezsilnym protestem przeciw znieważeniu przez nas świętego ducha Islamu!...

II.

Ciemność i cisza głęboka panowały wewnątrz hanu. Zamiast życia rzeczywistego, roiły się senne marzenia a symboliczny kwiat maku pływał nad naszemi głowami. Spaliśmy mocno, utrudzeni wczorajszą podróżą, jak bobaki w zimie. Były to skutki całodziennego gimnastykowania na siodłach, a zapewne i górskiego powietrza, przedzierającego się przez szpary okiennic, któremi zastawiono otwory okien.

Błogi nasz stan trwałby był niezawodnie jeszcze dłużej, jak o tem świadczyło głośne chrapanie, rozlegające się po wszystkich rogach, lecz nagle harmonję spokoju zamącił łoskot z zewnątrz. Wkrótce tuż pod oknami padł nowy strzał poczem zaczęto dobijać sią gwałtownie do naszych okiennic.

Rzecz naturalna, żeśmy się pozrywali na równe nogi. Nowy strzał obudził w nas energję i rzeczywiście dał się słyszec suchy szczęk odwodzonych półkurczy, a jeden z Polaków zaświecił zapałkę.

Dziwny wtedy przedstawił się widok naszym oczom.

Oto na środku tapczana pod oknami leżał niepospolity wał, zaimprowizowany ze zwiniętych materaców, kołder, surdutów, poduszek; zaporę tę podpierały z wewnątrz potężne dłonie rozciągniętego na brzuchu nadinżyniera, widocznie waleczny ten mąż postanowił do ostatka bronić swej pozycji. Za koszami postrzegliśmy Greka i Ormjanina: Francuzi pochowali się pod tapczan a Turek siedział nieruchomie na swojem posłaniu. Polacy jedni stali z wyciągniętemi szyjami jak żurawie na czatach trzymając broń w pogotowiu.

Właśnie mieliśmy się zbić w jeden zastęp odporny, gdy zamiast nowej salwy napastników usłyszeliśmy ranną pobudkę wygrywaną na zdradzieckim rogu kapitańskim. Na wykrzykniki nasze odpowiedział kapitan śmiejąc się głośno:

— Panowie! *à la guerre comme à la guerre.* Zatknąwszy na hanie sztandar ottomański zamieniliście go na twierdzę. Stary żołnierz ujrzawszy to, uznałem za stosowne strzałami i trąbką zwiastować wam porę wstawania. Przepraszam, że nie mogłem znaleźć armaty; sądzę jednak że moja dubeltówka grzeczniej ją zastąpiła.

Na tę przemowę, wymówioną uroczystym głosem, posypały się zewsząd djabły i inne dodatki: jeden tylko Agop, Ormajnin, nie brał lekko alarmu, gdyż po opuszczeniu obronnego stanowiska w te słowa przemówił:

— Żart żartem panowie, ale co do mnie byłem już gotów pożegnać się ze światem, przypuszczając, że w tym hanie przeznaczono mi głowę złożyć. Niechże będzie błogosławiony św. Kirkor, że nie spotkałem się tu znowu z prawdziwymi opryszkami. Niech ich szatani na ćwierci poszarpią!...

— Jakto, więc spotykaliście już w tem miejscu prawdziwych opryszków? Teraz rozumiem kto was nauczył koszów używać — zawołał ktoś z boku.

— Aman! co kosze, jakie kosze! Posłuchaj tylko uważnie, a zrozumiesz, że kosze na nicby się nam wtedy nie były przydały.

(C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Widzieliśmy, że ciała płonące wysyłają istotnie własne swe światło, ale tylko ciała płonące; ciała ciemne okazują barwy nie własne, a tylko barwy brane ze światła, które je oświeca. Ciała barwne otrzymują swe kolory przez to, że ze światła na nie padającego pochłaniają, absorbują, pewną ilość jego składowych części barwnych, a odrzucają części pozostałe; ta pozostała przeto tylko część barw może do oka naszego dojść i sprawia w niem wrażenie, jakby ciało wysyłało tę resztę promieni barwnych, które się w oku jednoczą i nadają ciału pewien oznaczony charakter barwny, stanowią właściwą jego barwę. Napomknąć tu jeszcze wypada, że promienie pochłonięte nie giną, nie tracą się zupełnie; dziś wiemy dobrze, że jak żadna cząstka materji zatracić się nie może, tak też żaden ruch, żadna siła zginąć bez śladu nie może: drgania eteru, które wywoływały światło, udzielają się cząstkom ciała, podwyższają ruch ich własny i powiększają przeto ciepło ciała pochłaniającego, — ciepło bowiem jak i światło, jest objawem ruchu. Jeżeli ciało padającego na nie światła nic nie odrzuca, a całkowicie je pochłania, nazywamy je czarnem. Bezwzględnie czarnych ciał nie znamy, każde odrzuca przynajmniej ślady światła. Barwa przeto czarna nie jest, ściśle mówiąc, barwą i możemy powiedzieć, że przy czytaniu nie widzimy czarnych głosek, tylko tło białe, miejscami przez nie przerwane. Jeżeli natomiast ciało odrzuca w jednakiej mierze wszystkie części światła zwykłego, na nie padającego, zowiemy je białem. Jeżeli ciało pochłania wszystkie barwy z wyjątkiem żółtej, to przedstawia się w barwie żółtej jednorodnej; jeżeli pochłania promienie niebieskie, a odrzuca wszystkie inne, takowe łączą się znów w barwę żółtą, która jest dopełniającą niebieskiej, ciało jest także żółtem, jakkolwiek barwa jego w obecnym przypadku jest złożona. Teraz łatwo sobie wytłumaczymy dla czego przy oświetleniu olejnem lub gazowem barwa żółta i biała sprawiają jednakie w oku wrażenie. Światło płonącego oleju i gazu zawierają przeważnie promienie żółte i tylko nie wielką ilość promieni niebieskich, jeżeli więc światło takie pada na ciało żółte, które pochłania wszystkie promienie oprócz żółtych, jakie odrzuca, to po tem odrzuceniu światło żółte nie ulegnie zmianie, bo ciało żółte prawie żadnych z niego promieni nie zatrzyma; ciało białe odrzuca w jednakiej mierze wszystkie padające nań promienie, ale gdy jest oświetlone jedynie promieniami żółtemi, może też je tylko odrzucać i przedstawia się żółtem, — oto powód, dla którego przy wybieraniu się na bal jest dla nas rzeczą obojętną, czy białe, czy też żółte kładziemy rękawiczki. Przy tem samem wieczornem, żółtem oświetleniu niepodobna odróżnić barwy niebieskiej od zielonej; światło bowiem żółte nie zawiera w sobie promieni błękitnych i fijoletowych, ciało przeto niebieskie, oświetlone światłem żółtem, złożonem, nie może odrzucać tych promieni, a bliższe badanie promieni odrzuconych nauczyłoby nas, że łączne ich działanie sprawia wrażenie zieleni. Wszystkie te zjawiska słabną, w miarę jak płomień staje się jaśniejszym i bielszym, czyli im gaz jest lepszym; doskonałe światło gazowe zachowuje się prawie jak dzienne. Natomiast przy świetle żółtem jednorodnem, jakie np. wydaje płomień spirytusu, zawierającego w rozpuszczeniu sól kuchenną, wszystkie barwy, z wyjątkiem żółtej nikną; niektóre czyste barwniki wydają się nawet zupełnie czarnemi, jak karmin lub błękit paryski, a twarze ludzkie stają się trupio żółtemi.

Jeżeli ciało jakie z padającego nań światła białego odrzuca wszystkie barwy w jednakiej mierze, ale w słabszym stopniu, jest szarem. Ponieważ ciała białe odbijają wszystkie barwy, a ciała czarne nie odbijają wcale światła, przeto mięszanina bieli z czernią odbijac musi wszystkie barwy w słabszem stopniu, wydawać się musi przeto szarą. W istocie też powstaje barwa szara przez zmięszanie barwnika czarnego z białym, przez łączenie w tkaninę nici białych i czarnych, przez rozcieńczenie barwnika czarnego.

Podobnie jak do barwy białej dodać można czarną i nawzajem, tak też każda barwa może mieć domieszaną barwę białą lub czarną, albo też mięszaninę ich obu, czyli barwę szarą. Barwa nie zawierająca żadnej z tych przymieszek, która przeto zawiera tylko właściwe istotne swoje części składowe, nazywa się barwą nasyconą. Najbardziej nasyconemi są czyste barwy widmowe, są one też barwami najwspanialszemi, a każdy, co je po raz pierwszy dostrzega, mimowolnie doznaje z ich piękności zachwytu. Ale już mięszanina dwu barw widmowych traci na nasyceniu, gdyż dwie te barwy pobudzają wszystkie trzy włókna nitki nerwowej, sprawiają przeto razem wrażenie białości, która się łączy z działającą barwą złożoną i osłabia jej natężenie barwne, jej odcień czyli ton — jednem słowem jej nasycenie. W miarę jednak jak barwa przez przymieszkę białej traci na nasyceniu, zyskuje na jasności, staje się świetlejszą. Malarze korzystają z tego, rzucają białe odcienia, gdzie idzie o nadanie barwie żywszego blasku.

Za daleko odwiodłoby nas to od przedmiotu, gdybyśmy zamierzali tu podać szczegółowy opis oka. Wiadomo powszechnie, że oko porównanem być może do ciemnicy optycznej, a obraz przedmiotu widzianego rysuje się na siatkówce, rozesłanej w tylnej części oka, jak w skrzyni fotografa na przygotowanym chemicznie papierze. Siatkówka jest rozgałęzieniem nerwu wzrokowego, przyjmuje wrażenia świetlne i odsyła je do mózgu. Otóż dla objaśnienia wrażeń barwnych przyjmuje Young (1807), że każda nitka nerwowa siatkówki roszczepia się w końcu na trzy włókna, z których podrażnienie jednego wywołuje wrażenie czerwieni, podrażnienie drugiego wrażenie zieleni, a trzeciego wrażenie fijoletu. Światło czerwone pobudza przeważnie włókno pierwsze, właściwe barwie czerwonej, podobnie jak światło zielone i fijoletowe pobudzają przeważnie właściwe sobie włókna, — przeważnie, ale nie wyłącznie, — światło fijoletowe np. pobudza nietylko włókna fijoletowe, a'e zarazem włókna czerwone i zielone, jakkolwiek bardzo słabo; światło czerwone również pobudza nieco włókna zielone i fijoletowe. Światło żółte pobudza dosyć silnie włókna czerwone i fijoletowe, a połączone to działanie wywołuje właśnie wrażenie barwy żółtej tak samo, jak przez zmięszanie czerwieni z zielenią powstaje kolor białawo żółty. Światło niebieskie pobudza włókna zielone i fijoletowe, podobnie jak połączenie widmowej zieleni z fijoletem wydaje kolor niebieski. Barwa biała jest wrażeniem odebranem mniej więcej jednostajnie przez włókna wszystkich trzech rodzajów. W ten sposób łatwo wytłumaczyć wszelkie działania barw, np. łączenie się barw dopełniających w światło białe: światło żółte pobudza włókna czerwone i zielone, światło indygowe włókna zielone i fijoletowe, — razem przeto działając pobudzają włókna trzech kategoryj, z czego powstaje barwa biała, z pewną przewagą zieleni. Każda barwa pobudza właściwe sobie włókna silnie, inne słabo. Atoli, gdy natężenie tej barwy, czyli, co na jedno wychodzi, tego światła staje się dostatecznie silnem, pobudza ono silnie inne włókna, tak że jedna barwa przy dostatecznem natężeniu wywołać może wrażenie światła białego, z pewną tylko przewagą barwy działającej.

Teorja Younga tłumaczy nam zarazem szczegół, o którym wspomnieliśmy wyżej, mianowicie że w mięszaninie tonów ucho rozróżnia tony oddzielne, gdy ze światła złożonego otrzymujemy wrażenie barwy pojedynczej, — pobudzenie bowiem wywarte na trojakie włókna, dochodzi do mózgu po jednej nitce nerwowej i przyjętem przezeń zostaje jako wrażenie pojedyncze. Wyjaśnienie to staje się wyraźniejszem jeszcze w skutek nowych badań Maxa Schultze'go nad budową siatkówki; wrócimy do tego następnie,— obecnie wypada się nam zająć pytaniem, które stanowi niejako treść główną naszego przedmiotu; winniśmy mianowicie wytłumaczyć, jak barwy powstają.

Z opowiedzianej wyżej tożsamości światła i barw wypada, że własne barwy posiadają tylko ciała posiadające własne światło, ciała żarzące się lub płonące. Im ciało jakie silniej będzie ogrzanem, im wyższą posiada temperaturę, tem jaśniejszem jest światło, jakie wysyła, ale zarazem jest ono wyższem, biorąc tu wysokość w znaczeniu tem samem co przy głosie, tj. światło o coraz większej liczbie drgań. Dopóki temperatura ciała nie przejdzie pewnej granicy, wysyła ono tylko promienie ciemne, objawiające się jedynie jako ciepło; gdy ciało dostatecznie się rozżarzy do poprzednich promieni ciemnych przybywają jasne i to, jak wiadomo każdemu ze zwykłych spostrzeżeń, ciało zaczyno najpierw wysyłać promienie czerwone — rozżarza się do czerwoności. Doświadczenia Drapera (1847) potwierdziły to spostrzeżenie; przekonał się on nadto, że najrozma-

itsze ciała — koks, miedź, ołów, platyna, wapno, zaczynają świecić przy tej samej temperaturze — mianowicie przy 525°. W miarę jak temperatura rośnie, jak ciało się wyżej ogrzewa, do promieni czerwonych przybywają żółte, zielone, a światło ciała przybiera wejrzenie żółte, nakoniec dopiero przyłączają się promienie najwyższe — niebieskie i fijoletowe. Do tych badań użyć możemy tegoż samego pryzmatu, który nam posłużył do rozszczepienia światła słonecznego na pojeżyncze barwy; jeżeli światło ciała żarzącego się przepuścimy przez ten pryzmat, otrzymamy widmo tego ciała, czyli raczej światła, jakie ono wysyła. Draper się przekonał, że z początku, przy 525°, widmo, składało się tylko z promieni czerwonych; przy 655° rozciągnęło się aż do zieleni, przy 725° wystąpił już prążek niebieski, przy 795° smuga niebieska była daleko dłuższa; nakoniec przy 1170° widmo staje się niemal tak rozległem, jak widmo słoneczne, — zawiera ono wszystkie barwy widmowe a tem samem sprawia wrażenie światła białego. Wiemy zresztą, że ciała nader silnie rozżarzone świecą biało, czy to mamy metal rozżarzony, czy światło elektryczne drumondowe lub magnezjowe. Nie wszystkie jednak ciała wysyłają takie widma ciągłe — pary metaliczne i gazy rozrzedzone wysyłają w ogólności promienie jednego tylko rodzaju. Już wyżej wspomnieliśmy, że para sodowa wydaje tylko światło żółte; jeżeli promienie te sodowe przepuścimy przez pryzmat, otrzymamy jeden tylko prążek żółty, a jest on tak dla sody cechujący, że gdy go w widmie jakiego płomienia dostrzeżemy, możemy wnieść na pewno, że w owym płomieniu unosi się rozpalona para sodowa. Spostrzeżenie to jest zasadą, na której się opiera analiza spektralna, czyli rozbiór widmowy, tj. dochodzenie natury ciał z rodzaju ich widma. Wspaniałe to odkrycie, które unieśmiertelniło Kirchhoffa i Bunsena jest dziełem zaledwie zeszłego dziesiątka lat,— dziś rozwinęło się już ono w obszerną i oddzielną gałęź wiedzy i powiodło do dokonywania rozbiorów chemicznych słońca i gwiazd; drżący promyk światła, który dla dojścia do nas od gwiazdy potrzebuje całych lat i dziesiątków lat, opowiada nam, jakie go ciała płonące wysłały. W tem jednak miejscu mogliśmy tylko napomknąć o tym przedmiocie, który dla nauki współczesnej ma urok najwyższy, ale któryby nas odwiódł zadaleko od głównego wątku naszego opowiadania, które ma teraz na celu wyjaśnienie powstawania barw.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział III.

(Ciąg dalszy).

(Godzina pi ta w wieczór. — Stracony towarzysz. — Rozpacz Naba. — Poszukiwania w północnej stronie. — Wysepka.— Noc pełna strapieniu i udręczeń. — Mgła poranna — Wyprawa Naba wpław przez morze. — Obraz ziemi. — Przez kanał w bród.)

Sieć przedarła się była pod Cyrusem Smithem i uderzający bałwan morski porwał go ze sobą. Z nim razem zniknął także pies jego. Wierne to zwierzę dobrowolnie rzuciło się w morze na pomoc swojemu panu.

— Dalej, naprzód! zawołał korespondent.

I wszyscy czterej, jak byli, Gedeon Spilett Harbert, Pencroff i Nab, niepomni własnego znużenia i trudów, rozpoczęli poszukiwania.

Biedny Nab płakał z wściekłości i z rozpaczy zarazem, na myśl, że utracił wszystko, co kochał na świecie.

Między chwilą, kiedy Cyrus Smith zniknął, a chwilą, w której towarzysze jego wyrzuceni zostali na ląd, nie upłynęło więcej jak dwie minuty. Można się więc było spodziewać przyjść jeszcze na czas z pomocą.

— Szukajmy go, szukajmy go! krzyczał Nab.

— Dobrze, Nab, odparł Gedeon Spilett, i znajdziemy go!

— Przy życiu?

— Przy życiu!

— A umie pływać? zawołał Pencroff.

— Umie! odparł Nab, a zresztą Top jest przy nim!

Marynarz, słysząc wściekły ryk morza, pokiwał tylko głową!

Inżynier wpadł w morze na północ od wybrzeża, około pół mili od miejsca, w którem wyrzuceni zostali nasi rozbitki. Najbliższy zatem punkt wybrzeża, do którego mógłby dopłynąć, odległy był co najwyżej pół mili.

Była wówczas mniej więcej godzina szósta z wieczora. Mgła podniosła się z oceanu i ciemniejszą jeszcze uczyniła noc. Rozbitki skierowali swe kroki północnym brzegiem lądu, na który los ich wyrzucił, lądu zupełnie nieznanego, którego nawet położenia geograficznego domyślać się nie mogli. Pod nogami mieli grunt piaszczysty, zmięszany z kamykami i pozbawiony, jak się zdawało, wszelkiej roślinności. Grunt ten, nader nierówny i chropowaty, poprzerzynany był tu i owdzie małemi rozpadlinami, które niezmiernie utrudniały pochód. Z tych dołów zrywały się co chwila duże jakieś ptaki ciężkiego lotu, których ciemność nie dozwalała rozpoznać. Inne, szybsze i mniejsze, wzlatywały stadami jak chmury. Marynarzowi zdawało się, że poznaje w nich mewy i drobniejsze ptactwo morskie, którego przeraźliwe ostre krzyki zagłuszały nawet szum oceanu.

Od czasu do czasu rozbitki nasi zatrzymywali się i wołali z całych sił, wytężając słuch, czy też od strony morza nie odezwie się głos jaki. Przypuszczali słusznie, że zbliżywszy się do miejsca, w którem Cyrus Smith mógł był wypłynąć, w razie, gdyby on sam nie był w stanie dać znać o sobie, szczekanie Topa doszłoby ich ucha. Lecz żaden głos nie dał się słyszeć wśród ponurego grzmotu łamiących się o brzegi fal morskich. Wtedy drużyna nasza podążyła dalej, przeszukując po drodze wszystkie najmniejsze zakręty nadbrzeża.

Po 20 minutach marszu, wstrzymała nagle pochód naszych rozbitków granica spienionych fal morskich. Nie było dalej lądu. Znaleźli się na samym krańcu języka ziemi, o którego podnóże łamały się z wściekłością bałwany.

— To przylądek, rzekł marynarz. Zwróćmy się w prawo i tym sposobem dotrzemy do lądu stałego.

— Lecz jeśli on tam jest! odparł Nab, wskazując na ocean, którego olbrzymie fale bielały w zmroku.

— Więc wołajmy na niego!

I wszyscy czterej, łącząc razem swe głosy, wydali grzmiący okrzyk — żadnej odpowiedzi. Wyczekali chwili, w której morze jakby tchu nabierając przycichło — i ponowili okrzyk — ale napróżno!

Wówczas zwrócili swe kroki w przeciwną stronę przylądku, po gruncie jednakowo piaszczystym i kamienistym. Pencroff jednak zauważył, że brzegi były bardziej urwiste, że grunt się zwolna podnosił — i przypuszczał, że łączy swą przydłużoną nieco pochyłością wyniosły ląd, którego ciężkie kształty rysowały się niewyraźnie w cieniach zmroku. Mniej było ptactwa w tej stronie wybrzeża. I morze zdawało się być mniej wzburzonem, mniej hałaśliwem i nawet prąd fal widocznie o wiele zwolniał. Zaledwie słychać było jak łamały się o brzegi. Ta strona przylądku tworzyła snać małą zatokę półkolistą, którą ów język zasłaniał przed działaniem pełnego morza.

Lecz idąc dalej w tym kierunku południowym, oddalano się tylko coraz bardziej od tej strony wybrzeża, gdzie Cyrus Smith prawdopodobnie mógł był wypłynąć. Po półtorej mili drogi nie napotkali jeszcze takiego zakrętu, któryby im dozwolił zwrócić się znowu na północ. Zdawało się jednak, że przylądek ten z tej strony którą szli, musiał gdzieś przytykać do stałego lądu. Rozbitki, jakkolwiek znużeni i wycieńczeni na siłach, dążyli mężnie naprzód, w nadziei znalezienia się co chwila na skręcie, który ich zawróci napowrót w dawnym kierunku.

Lecz jakież było ich rozczarowanie, gdy po dwóch milach drogi znaleźli się naraz na dość wyniosłym, śliskim, skalistym szczycie, a przed sobą ujrzeli morze!

— Jesteśmy na jakiejś wyspie! rzekł Pencroff, i zeszliśmy ją od końca do końca!

Marynarz miał słuszność. Rozbitki nasi nie zostali wyrzuceni na ląd stały, ani nawet na wyspę, lecz na malutką wysepkę mającą zaledwie dwie mil długości, której szerokość nie musiała być także bardzo znaczną.

Czyż miałaby ta mała kamienista wysepka pozbawiona wszelkiej roślinności, pusty przytułek kilku ptaków morskich, przytykać do innej większej jakiej wyspy? Trudno to było przypuścić. Podróżni nasi, ujrzawszy z łódki ziemię przez mgły, nie zdołali ocenić dostatecznie jej objętości. Lecz Pencroff wprawnem okiem marynarza przenikającem wszelkie ciemności, zdawał się dostrzegać w tej chwili na zachodzie niewyraźne kształty jakiegoś górzystego wybrzeża.

Lecz ciemność nie dozwalała rozróżnić do jakiego rodzaju należała ta wysepka, pojedyńczych czy też złożonych. Nie podobna było także opuścić jej, gdyż zewsząd oblaną była morzem. Trzeba więc było odłożyć nazajutrz poszukiwania za straconym towarzyszem, który niestety żadnym nawet znakiem nie dał znać o sobie.

— Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi, rzekł korespondent. Może zemdlał, może jest ranny i chwilowo niezdolny dać odpowiedzi ale nie traćmy nadziei.

Korespondent wpadł zatem na myśl rozpalenia ognia na pewnym punkcie wysepki, który by służył jako sygnał dla Cyrusa. Lecz nigdzie nie można było znaleść ani drzewa ani suchych krzewów. Wszędzie tylko piasek i kamyki!

Łatwo pojąć żal i boleść Naba i towarzyszy jego, którzy żywe przywiązanie powzięli dla nieustraszonego Cyrusa. Aż nadto widocznem było niepodobieństwo niesienia mu w tej chwili pomocy. Potrzeba było oczekiwać dnia. Albo więc Cyrus sam o własnych ocalił się siłach i

znalazł już schronienie na jakimś punkcie wybrzeża, albo też stracony był na wieki!

Długie to były i gorzkie godziny. Rozbitki srogich doznawali cierpień, lecz zaledwie je czuli. Nie przyszło im do głowy użyć chwili spoczynku. Myśl o ich przewódzcy nie pozwoliła im pamiętać o sobie; nie tracąc nadzieji, a raczej wmawiając ją w siebie, tysiąc razy przebyli tam i nazad całą wysepkę, powracając nieustannie do jej północnego krańca, najbardziej zbliżonego do miejsca gdzie zaszło owo opłakane zdarzenie. Naprzemian to przysłuchując się, to znów wołając, spodziewali się wciąż usłyszeć wołanie o pomoc, a głos ich musiał sięgać daleko, gdyż spokój jakiś zapanował wówczas w powietrzu fale się uspokoiły a zarazem i huk ich przycichł.

Raz nawet na krzyk Naba zdawało się że zawtórowało echo. Harbert zwrócił na to uwagę Pencroffa, dodając:

— To dowodzi, że w stronie zachodniej znajduje się ziemia nie bardzo daleko.

Marynarz skinął na to potakująco. Zresztą nie mogły go oczy omylić. Jeśli chociaż niewyraźnie dostrzegł w tej stronie ziemię, to z pewnością była tam ziemia.

Lecz to dalekie echo było jedyną odpowiedzią na krzyk Naba, a całą wschodnią część wysepki zaległa ponura cisza.

Tymczasem zwolna wypogadzało się niebo. Około północy zamigotało kilka gwiazdek, i gdyby inżynier był przy nich, byłby dostrzegł, że te gwiazdy nie należały już do strefy północnej. Nie było gwiazdy polarnej na tym nowym horyzoncie, konstelacje zenitalne były także różne od tych, jakie się dają spostrzegać na północy nowego świata, a Krzyż Południowy jaśniał na południowym biegunie.*)

Tak upłynęła noc. Około godz. piątej nad ranem, dnia 25. marca na wierzchołku nieba zarysowały się lekkie półcienie. Widnokrąg pogrążony był jeszcze w ciemności, lecz z pierwszym brzaskiem dnia, podniosła się z morza mgła gęsta tak, że zaledwie na dwadzieścia kroków przed sobą można było dostrzegać przedmioty. Mgła rozwinęła się i zawisła nad ziemią w ciężkich szmatach.

Była to nowa przeszkoda bardzo nie w porę. Rozbitki nic mogli nic rozróżnić w koło siebie. Podczas gdy oczy Naba i korespondenta błądziły po oceanie, marynarz z Harbertem śledzili za ową ziemią na zachodzie. Lecz ani śladu ziemi nie można było dostrzedz.

— Mniejsza z tem, rzekł Pencroff, chociaż nie widzę ziemi, to ją czuję... ona tam... tam... tak pewnie, jak to, że nie jesteśmy więcej w Richmondzie!

Lecz niebawem mgła poczęła się rozwiewać. Była ona tylko zapowiedzią pogody. Ciepłe promienie słoneczne ogrzały naprzód górne pokłady powietrza a następnie przedarły się do samej powierzchni wysepki.

W istocie, około godziny wpół do siódmej, w trzy kwandranse po wschodzie słońca, mgła zrobiła się przezroczystą. Zgęstniała u góry, lecz zato przerzedziła się u dołu. Niebawem ukazała się oczom rozbitków cała wysepka, jak gdyby wyszła z chmur, następnie półkolem poczęło odsłaniać się morze, niezmierzone ku wschodowi ale zato na zachodzie zarysowało się wyniosłe i urwiste wybrzeże.

*) Krzyż Południowy jest taką samą stałą konstelacją nad biegunem południowym, jak Mała Niedźwiedzica z gwiazdą polarną nad biegunem północnym. Przyp. tłom.

Tak! to ziemia! Tam ich zbawienie na jakiś czas przynajmniej! Wysepkę przedzielał od owego wybrzerza, kanał na pół mili szeroki, w którym szumiał bystry prąd morski.

Tymczasem jeden z rozbitków idąc wyłącznie za popędem swego serca, rzucił się nagle w prąd morski, nie zasięgnąwszy wprzód nawet zdania towarzyszy, nie rzekłszy ani słowa. Był to Nab. Spieszno mu było dostać się do tego wybrzeża i dopłynąć doń od strony północnej. Nikt by go nie był w stanie zatrzymać. Pencroff wołał za nim, ale napróżno. Korespondent gotował się płynąć za Nabem.

Wówczas Pencroff przystąpiwszy do niego rzekł:

— Chcesz pan przepłynąć ten kanał?

— Tak jest, odparł Gedeon Spilett.

— Więc wierz mi, zaczekaj trochę, rzekł marynarz. Nab wystarczy ażeby nieść pomoc swemu panu. Puściwszy się kanałem, narazilibyśmy się tylko na to, że prąd porwałby nas ze sobą. Otóż, jeżeli się nie mylę, to prąd ten spowodowany jest odpływem morza. Patrz pan, morze widocznie opada. Wiąc miejmy cierpliwość. gdy odpływ ustąpi, uda się nam może przejść w bród.

— Masz pan słuszność, odparł korespondent. Nie rozłączajmy się ze sobą, jak długo się da....

Tymczasem Nab walczył mężnie z prądem wody. Płynął wciąż w kierunku skośnym. Za każdem uderzeniem fali widać było jego czarne barki nad powierzchnią wody. Prąd unosił go wprawdzie z olbrzymią szybkością, lecz jednocześnie przybliżał się wciąż do brzegu. To pół mili, które oddzielało wyspę od ziemi, przepłynął w przeciągu więcej niż pół godziny i wyszedł na brzeg o kilka tysięcy stóp w bok od miejsca przeciwległego punktowi, z którego wypłynął.

Nab wylądował u podnóża stromej ściany granitowej, strzepnął się tęgo, następnie pobiegł pędem i zniknął wkrótce po za wierzchołkiem skały, sterczącej ponad morzem w tej samej mniej więcej wysokości, co północny kraniec wysepki.

Towarzysze Naba przypatrywali się ze ściśnionem sercem śmiałemu jego zamiarowi a gdy już zniknął im z oczu, przenieśli wzrok swój na ową ziemię, na której chcieli szukać schronienia i przytułku. Zjedli także kilka muszli rozsianych gęsto po piasku — lichy to był posiłek, ale zawsze jakiś posiłek.

Przeciwległe wybrzeże tworzyło obszerną zatokę, zakończoną na południe spiczastym językiem, pozbawionym wszelkiej roślinności, który przedstawiał widok nader ponury i dziki. Język ten łączył się z wybrzeżem w dość fantastycznych zarysach i jak filary zakończone w kabłąk, sterczały z niego olbrzymie skały granitowe. Przeciwnie na północ rozszerzając, się, tworzyła zatoka wybrzeże bardziej zaokrąglone, ciągnące się z południowo-zachodniego w północnowschodnim kierunku a zakończone urwistym, spiczastym przylądkiem. Odległość pomiędzy tymi dwoma krańcami, o który opierał się łuk zatoki mogła wynosić mil ośm. Wysepka na pół mili od brzegu oddalona, zajmowała szeroki pas morza, podobna do olbrzymiego szkieletu wieloryba. Cała jej szerokość wynosiła ćwierć mili.

Nadbrzeże przed wysepką składało się w pierwszym rzędzie z płaszczyzny piaszczystej pokrytej gęsto czarniawemi skałami, które właśnie w tej chwili z opadającego wskutek odpływu morza poczęły zwolna wychylać głowy. Na drugim planie wznosił się rodzaj kurtyny*) granitowej, ściętej prostopadle, z fantastycznym wierzchołkiem, najmniej 300 stóp wysokiej. Kurtyna ta ciągnęła się na trzy mile długości i kończyła się z prawej strony raptownie ściętem urwiskiem, jak gdyby ręką ludzką ręką wyciosanem. Przeciwnie po lewej stronie przed samym przylądkiem, to strome niekształtne wybrzeże rozdrobione wgraniaste bryły, złożone z na gromadzonych odłamów skał i rumowiska, przechodziło zwolna w przydłużną pochyłość, z którą łączyły się urwiska i skały południowego krańca.

Na płaszczystej wyżynie wybrzeża nie było ani jednego drzewa. Był to jakby stół gładki, podobny temu, który się wznosi nad Cape-Town, na przylądku Dobrej Nadzieji, tylko mniejszych nieco rozmiarów. Tak przynajmniej wydawało się patrząc z wysepki. Za to nie brakowało roślinności po prawej stronie, za owem urwiskiem. Łatwo było rozróżnić grupy olbrzymich drzew, ciągnące się jak daleko wzrok sięgał.

Widok tej roślinności rozweselał nieco oko, znużone szorstkiemi linjami granitowych ram, które go otaczały.

Na ostatnim wreszcie planie, ponad piaszczystą wyżyną, w kierunku północno-zachodnim, w ogległości najmniej siedm mil, błyszczał śniegiem okryty szczyt, ozłocony promieniami słońca. Była to czapka śniegu pokrywająca łysinę jakiejś oddalonej góry.

Niepodobna więc było rozstrzygnąć kwestji, czy ziemia, którą widzieli przed sobą, była wyspą, czy też częścią lądu stałego. Lecz patrząc na te skały piętrzące się po lewej stronie, dziwacznie poszarpane i urwiste, każdy geolog byłby niezawodnie przypisał im pochodzenie wulkaniczne, niezaprzeczenie bowiem były wytworem jakiejś podziemnej rewolucji.

Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert uważnie przypatrywali się tej ziemi, na której czekał ich może długoletni pobyt a może i śmierć nawet, jeżeli nie leżała przy szlaku, którym zwykły płynąć okręta!

— No, i cóż ty na to, Pencroff? zapytał Harbert.

— Ha cóż, widzę w tem dobre i złe, jak we wszystkiem, odparł marynarz. Zresztą obaczymy. Lecz odpływ morza coraz widoczniejszy. Za trzy godziny spróbujemy, czy nie uda się nam przejść na drugi bok, a gdy się już raz tam dostaniemy, będziemy się starali robić co będzie można i odszukać p. Smitha.

Pencroff nie omylił się wswych rachubach. We trzy godziny później, gdy morze opadło, odkryła się większa część piaszczystej płaszczyzny, stanowiącej łożysko kanału. Wysepkę oddzielała już tylko od przeciwnego wybrzeża wąska odnoga, łatwa do przebycia.

W istocie, około godziny dziesiątej, Gedeon Spilett z dwoma towarzyszami, rozebrawszy się i przymocowawszy na głowie zawiniątka z sukniami, rzucili się w odnogę, której głębokość nie wynosiła więcej jak pięć stóp. Harbert, dla którego było zbyt głęboko, płynął jak ryba i trzymał się dzielnie. Wszyscy trzej dostali się bez trudności na drugą stronę. Tam osuszywszy się rychło na słońcu i przywdziawszy napowrót suknie, które udało im się ochronić od zmoczenia złożyli walną naradę. (C. d. n.)

*) Kurtyną nazywają przy twierdzach mur łączący ze sobą dwa bastjony. W tem znaczeniu użył autor tego wyrazu w tem porównaniu. (Przyp. tłum.)

Pan Halski.

BALADA.*)

Hej! po kraju, jak w zwyczaju Tatar sieje mord!
Na koń siadaj, zbroję wkładaj i przypasuj kord!
Ze wsi do wsi, z miasta w miasto bieży wieść grobowa —
A rycerze na potrzebę wzywa król z Krakowa.

Każdy wkłada, zbroję dziada, rzuca domek swój
I wesoły z przyjacioły idzie w krwawy bój;
W ręku brzeszczot, a na piersiach szkaplerz częstochowski
I w węzełku trochę ziemi z rodzicielskiej wioski.

Lecz nie zawdy, człek dla prawdy, dla ojczystych pól —
Bić się może, w imię Boże, chociaż każe król —
I nie każdy od rodziny oderwać się zdoła —
I nie każdy zdoła rzucić chaty swej anioła!

Ale biada, temu biada, kto, gdy każe lud
W bój nie idzie, ten w ohydzie spędzi życia trud —
Sam Bóg groźną ześle zemstę, bo za zdrady krwawe,
Niebo nawet mścić się musi, chociaż tak łaskawe.

Hej! na wroga, w imię Boga wszyscy poszli już,
Z Polski całej, z Rusi białej i Czerwonej wzdłuż —
Poszli z Orłem i Pogonią i Aniołem białym
Jeden tylko Halski został w dworcu swym wspaniałym.

Żal mu żonę, ulubionę rzucać prędko tak,
Choć mu dusza z pod kontusza rwie się gdyby ptak —
Żal mu pieszczot, pocałunków, a więc rzucił bronie —
I gdy inni we krwi toną, on w pieszczotach tonie!

„Niech z roskoszą inni znoszą śmierć lub boleść ran —
„Mnie nie straszny, Han rubaszny! — Kupię go, bom pan!“
Więc podarki śle do Hana, aby jego mienia
Nie napadał — i Han przysiągł na białość sumienia.

Więc z swą żoną, ulubioną snuł miłośny sen
I z pieszczoty spajał w sploty jej kędziorów len —
Na jej blade od żądz czoło kładł całunków żary
I z roskwitłej ust jej róży słodkie ssał nektary.

„Już z zatratą nad twą chatą cięży przekleństw grom —
„Już się schyla, lada chwila spadnie na twój dom!“
Tak wołają trzej krukowie na Halskiego strzesie,
A złowrogie ich krakania nocny wicher niesie.

W krwawe szlaki, czarne ptaki poleciały w dal
Niosąc z sobą, krew z żałobą i trumienny żal —
Poleciały — w ślad za niemi do spokojnej chaty
Wpadł Tatarzyn walką pjany z krwawemi bułaty.

Wiarołomny, bo niepomny owej przysięgi Han
Napadł z dziczą rozbójniczą na Halskiego łan —
Spalił zboże i dobytek — w jasyr pobrał ludek
I rozerwał szczęścia wieńce zwite z niezabudek.

I z świetlice krasawicę wziął mu Tatar w plon ...
On w rozpaczy kij żebraczy w drżącą chwycił dłoń,
I od jednej wsi do drugiej chodził żebrząc wszędzie,
Aby szli z nim na Tatara — on hetmanić będzie.

„Boże, Panie! Twe karanie niech w proch zetrze mię
„Za me grzechy, bez pociechy spędzę życia dnie! —
„I w pokucie najostrzejszej wielki grzesznik skona,
„Tylko dozwól mi ją zbawić — bo niewinną ona!“

Wkrótce mnogi, lud ubogi, już pod bronią stał —
Wódz co żywo, szablą krzywą, znak do marszu dał —
Wszyscy żwawo na koń skoczą i jak orły lecą,
A nad nimi srebrne znaki na chorągwiach świecą.

Na Tatara, dzielna wiara, już przypuszcza szturm —
Pod niebiosy biją głosy posrebrzanych surm —
Błyski mieczów i koncerzy — szczęk — i jęk — i wrzawa
A niebiosa uśmiechnięte zakryła kurzawa.

I w płaczące blaskiem słońce przez bojowy pył
Orzeł biały, okazały zwycięsko się wzbił...
Tatar uległ — kędy spojrzysz to tatarskie trupy —
Kędy spojrzysz, pokrwawione leżą w koło łupy.

Lecz dlaczego, twarz Halskiego oblekł smutku kir?
Wróg pobity, walki syty — w ziemi znalazł mir!
Czemu smutny? — Bo Han krwawy od ran i od znoju
Ujść potrafił krasawicę unosząc z pobojú!

Wśród gromady Halski blady stał jak gdyby trup —
Łzą zalany, obłąkany wzrok postawił w słup —
Drżał i jęczał: „Gdzie ma żona? — Gdzie mój anioł biały?!...“
Trzej krukowie lecąc nad nim szyderczo krakały...

W krwawe szlaki, czarne ptaki poleciały w dal —
Niosąc z sobą, krew z żałobą i trumienny żal —
Poleciały — on nie zważał na ptaki złowieszcze
Na koń skoczył i zawołał: „Dogonim ich jeszcze!

„Druhy moje, dzielne woje! Za mną, za mną w lot! —
„Zdradne męże niech dosięże naszej zemsty grot!
„Za mną! — W pogoń!“ — Na koń skoczą, za Tatarem w tropy
Pogoniły nasze dzielne, z stali kute chłopy.

We sto koni pogoń goni wśród wieczornej mgły;
Smętnolica, twarz księżyca srebrne leje łzy,
Na pancerze i na szłyki blask miesiąca pada —
Przez ponury szlak stepowy w pogoń mknie gromada.

Przez burzany, okutany w czarny płaszcz i mgłę
Jak ponura, czarna chmura Han piorunem mknie —
Przed nim na złocistem siodle biała suknia błyska —
Han miecz ściska — branka jęczy — koń pianami pryska.

Prożno goni, od pogoni już nie umknie — nie!
Już go mają, dopadają — „Hanie! Poddaj się!“
Halski woła: „Żonę moją oddaj mi Tatarze! —
„A ja życiem i wolnością za to cię obdarzę! —

„Stój zuchwały!“ — Lotem strzały Han odskoczył w bok —
Obłąkany, zemstą pjany utkwił w niego wzrok!
„Ach! Przez ciebie tyle braci moich legło w grobie...
„Choć byś niebo nawet dawał — nie oddam jej tobie!

„Za krew braci, krew niech spłaci słusznej zemsty dług —
„Z martwym łupem, legnę trupem — Lachu, u twych nóg!“
I uśmiechnął się szatańsko: „Ha! zbladło ci lice? —
„Jam trup — więc ci trupem oddam twoją krasawicę!

W zemsty szale wzniósł zuchwale — damasceński nóż —
Chwilo sroga! — „Stój przez Boga!“ — Ach za późno już! —
Po łabędziej sukni branki krwawa struga płynie —
Ach! Ty byłeś zawsze trupem, srogi Tatarzynie!

Han miecz ścisnął — ostrzem błysnął i sam trupem legł —
Wszyscy stali skamieniali, żal krwi ścinał bieg —
Halski jęknął i przy nogach ukochanej żony
Upadł zgrozą, boleścią w serce uderzony.

W krwawe szlaki, czarne ptaki przez step lecą w dal
Niosąc z sobą krew z żałobą i trumienny żal —
I tam kędy trzy mogiły ranną rosą płaczą —
Na bliźnięcych siadły krzyżach i żałośnie kraczą.

B. Czerwieński.

*) Rzecz wzięta z opowiadania ludu.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział IV.

(Ciąg dalszy.)

P. Tadeuszowi zależało na tem, ażeby „jego“ tajemnica nie wyszła na jaw przed czasem, a Karol pomagał mu w tem sumiennie. Drugą troską obydwu opiekunów było, ażeby pupilka ich otrzymała jak najlepsze i najstaranniejsze wychowanie. Wiele było konferowania i dyskutowania w tej mierze, na szczęście, z obawy by nie przemądrować czego, pozostawiono na razie główną część zadania p. Skryptowiczowej, i pod jej okiem Helenka chowała się wraz z dziećmi pana Karola w sposób najodpowiedniejszy jej wiekowi. Na przyszłość atoli p. Skryptowicz miał daleko sięgające plany, których podstawą była zła jego opinja o nauce kobiecej, t. j. udzielanej przez kobiety.

— Jednej tylko religji, mawiał, niech nikt nie uczy moich dzieci, oprócz ich matki. Kobieta nie owładnięta przez Stodolskich, a głęboko religijna, najlepszym jest katechetą. Dogmatyczna strona religji, tak szorstka i sztywna w ustach teologów, i często tak fatalnie podkopująca to, czego ma być fundamentem, udzielana przez matkę nabiera uroku cudownej i nieokreślonej legendy, której niezrozumiałość nie czyni uszczerbku, i z którą łączą się w nierozłączną całość zasady moralne, wszczepiane za młodu. Księża, którzy usiłują uzasadnić i udowodnić wszystko za pomocą djalektycznej filozofji, burzą zazwyczaj sami to co chcieliby wzmocnić. Przykładem jaskrawym jest Helena, której już w siódmym roku życia katecheta *lege artis* nabijał głowę cudackiemi definicjami. Nie uwierzysz natomiast, jakim doskonałym i przekonywającym profesorem teologji jest moja żona. Ma ona swoją własną metodę, której środków i sposobów nie potrafiłaby zapewne opisać. Kobiety umieją nie jedno, nie zdając sobie sprawy z tego.

— O, umieją!

— Rozumiem twoje westchnienie. Przyszło ci na myśl, jak doskonale umieją taić i udawać, jak dalece przejmują się przybranemi rolami. Ręczę, że Helena nie zdradziłaby się była jeszcze ani jednem słowem, ani jednym ruchem, gdyby nie była zdradzoną bez przyczynienia się ze swojej strony.

— W istocie, posuwa ona do mistrzowstwa sztukę zapomnienia, i do równego mistrzostwa sztukę wmawiania w siebie, że nie jest poznaną. Mówiłeś z nią podobnoś — jakież jest twoje zdanie?

— Hm, widzę, że radaby zerwać ze swoją przeszłością, jak mi pisałeś. Ale czy sądzisz, że jej się to uda w tej samotni? Zamek, park, i klub piwiarzy, to dobre na parę tygodni, później nastąpi reakcja spowodowana nudami. Musisz wynaleść coś, coby ją zajmowało, coby jej urozmaicało życie.

— Mam w tej mierze plan gruntownie obmyślany. Najpierw, zamierzam wprawić „klub“ w zdumienie niespodzianem zawiązaniem stosunków bliższej zażyłości z sąsiedztwem, od dawna zaniedbanem przezemnie. Szlachcice w tych stronach nieznośni, z mojej strony będzie to przeto poświęcenie nie lada. Jeden choruje na anglika, głupi jak stołowa noga, a zarozumiały jak paw' — drugi pseudo-patrjota, krzykliwy, sekciarz polityczny i agitator bez potrzeby i celu — trzeci i czwarty, narzekają na złe czasy i nie myślą o niczem, jak tylko o powiększaniu swoich majątków. Człowieka z wykształceniem i miłego w obejściu nie znajdziesz jednem słowem między naszymi bogatszymi posesjonatami na kilka mil w koło. A jednak, potrzeba będzie żyć z nimi, bo obawiam się, że Helenie sprzykrzy się wkrótce królować między żonami moich dzierżawców i mniej zamożnej szlachty okolicznej, z których mężami łączą mię serdeczniejsze stosunki. Nie zamierzam wcale poddawać jej myśli, by sobie znalazła jakie zajęcie w domu, wątpię bowiem, by ją to na serjo zabsorbować zdołało. Dla tego też, ile możności podzielę czas nasz między pobyt na wsi i w mieście, a podróże za granicę. Chciałbym, ażeby jak najprędzej nasyciła się zgiełkiem, blaskiem, ruchem, i sama w końcu zapragnęła spoczynku i życia dla jakiegoś celu. Ja znalazłem już taki cel — jest nim ona, i jej córka.

Projekta te wydały się Karolowi racjonalnemi i uspokoiły jego ukrytą obawę, że Helenie sprzykrzy się wkrótce pożycie z mężem nie młodym już i różniącym się z nią w skłonnościach i gustach. Miał z nią nazajutrz długą rozmowę, w której dość przebiegle usiłował utwierdzić ją w dobrych przedsięwzięciach, jakie mieć mogła, udając, że wierzy jak najmocniej we wszystko, co mu mówiła, i kładąc wiele nacisku na przywiązanie Tadeusza do niej i na jego dobre o niej wyobrażenie. Helena rada słuchała tych zapewnień z ust tak wierutnego sceptyka, wzmacniały one w niej przekonanie, że zasługiwała na uczucia, których była przedmiotem, i że nie było już ani jednej chmurki na jej widnokręgu. Sama, jakby dla skonstatowania tej zewnętrznej i wewnętrznej pogody, tego słonecznego stanu swojej duszy, powróciła do wypadku, który sprowadził Karola do Rymiszowa, kreśląc mu wymownie pogardę i wstręt swój dla Alfreda Zgorzelskiego.

— Powiem ci nowinę — wtrącił Karol. — Pan Alfred kocha się, jak słyszę.

— W *rouge*, czy w *noir*? Czy może w którym paragrafie prawa kryminalnego?

— O, nie. Kocha się w siostrzenicy pani Trzecieszczakiewiczowej. Wrócił z zagranicy do wód krajowych, do których jeździła na parę tygodni p. Trzecieszczakiewiczowa ze swojemi pannami, nie wiem poco — zapewne dla poratowania zdrowia kochanego Żolcia, który podobnoś cierpi na podagrę. Otóż Wandzia wróciła rozmarzona, zakochana po same uszy. Twoja matka sprzyja niezmiernie temu stosunkowi i powiada, że uważa to za swój obowiązek wyswatać Alfreda i dać mu dobrą żonę, skoro zawiódł się na tobie. Mówią, że ni ztąd ni zowąd dostał pieniądze, i że wróci wkrótce, by uporządkować swoje interesa i ożenić się z Wandzią.

— Nic z tego nie będzie! Wandzia jest bardzo dobrego serca dziewczyną, której szkoda dla pana Alfreda. Nie wierzę nawet, by miał względem niej jakie uczciwe zamiary i będę umiała zapobiedz, by jej nie zawiódł. Skoro przybędziemy do miasta, zabiorę Wandzię do siebie i wybiję jej z głowy ten romans nieszczęśliwy.

— Nie radzę ci tego. Wraz z Wandzią wzięłabyś do domu wizyty p. Alfreda, a to nie tylko w mieście, ale i na wsi, bo jego Kruchówka leży ztąd o dwie mile. Wizyty te....

— Obejdzie się bez wizyt, jego noga nie postanie nigdy w moim domu. Tadeusz...

— Tadeusz przyjmie go właśnie dla tego, że mówiono o jakimś stosunku, który miał istnieć między wami, i że nie zechce okrywać się śmiesznym pozorem zazdrości.

— Ja sama go poproszę, aby mu pokazał drzwi, i wyjaśnię mu, dlaczego to ma uczynić.

— Skoro masz tak rezolutne zamiary, to co innego. W istocie, szkoda dziewczyny.

P. Karol nie zastanawiał się dłużej nad tym szczegółem. Był obecnym na jednem jeszcze posiedzeniu klubu rymiszowskiego, i widział zdumione miny członków, gdy im Tadeusz zapowiedział, że zamierza od czasu do czasu puścić się wraz z żoną na wielkie wody okolicznego *high-life*. Dr. Chimerski udzielił pani Helenie dokładnego rysopisu, z którego mogła powziąć przekonanie, że między hrabią Rozumowskim, jednym z sąsiadów, a tegoż stadniną zachodzą jedynie różnice fizjologiczne; ks. Chyżycki zaś za pomocą zwięzłych dykteryjek ludowych scharakteryzował resztę posesjonatów, o których wspominał Tadeusz. Mimo to, po odjeździe p. Karola, pan Helena dała się nakłonić do zrobienia preliminowanych wizyt, i spostrzegła z przyjemnością, jak dalece przy pomocy majątku męża i własnych przymiotów towarzyskich, rywalizować może zwycięzko z młodszą i starszą „bracią“ wiejską. Na zimę, państwo Zameccy zjechali do miasta i prowadzili dom otwarty. Helena wykonala swój plan, tyczący się panny Wandy, bez oporu ze strony Tadeusza, który żywił niechęć jedynie ku pani Trzecieszczakiewiczowej. Był to dobry uczynek, p. Alfred zginął bowiem był znowu gdzieś bez wieści, a młoda wielbicielka lirycznej poezji, oprócz kilku listów, które miała od niego, potrzebowała serdeczniejszej pociechy od tej, jaką mogło stanowić skomlenie Żolcia. Uznał to Tadeusz i chętnie zgodził się z żoną, gdy objawiła chęć zabrania Wandy do siebie i „wydania jej za mąż,“ jeżeli się uda. Od tego czasu, panna Wanda Ciechocka większą część roku przebywała u państwa Zameckich, w mieście, w Rymiszowie, lub za granicą. Pan Alfred był niewidzialnym, i tak mijały lata, mimo wszelkiego urozmaicenia zbyt jednostajne, by powieściopisarz mógł zdawać z nich szczegółowo sprawę swoim czytelnikom.

Lat takich minęło ośm i nie sprowadziło wielkich zmian w postaciach, które poznaliśmy w ciągu naszego opowiadania, ani w ich stosunkach. Pan Tadeusz miał lat czterdzieście ośm, i kochał żonę, zawsze piękną, pomimo lat trzydziestu sześciu, które liczyła. Pani Podwalska i p. Trzecieszczakiewiczowa, żyjąc w nierozerwanej przyjaźni, zapewniały sobie zbawienie wieczne pod kierunkiem ks. Stodolskiego, który przy pomocy hojnych darów dusz pobożnych, pobudował już nie jedną kaplicę i pracował niezmordowanie nad utworzeniem przytuliska dla zaniedbanych chłopców, utrzymywanego przez OO. zgromadzenia apostolskiego św. Jakóba z Kompostelli. Był już gmach z folwarkiem, i w gmachu mieściło się trzydziestu siedmiu ojców, odprawiających służbę bożą w kaplicy pięknie przyozdobionej, podczas gdy na folwarku pięciu „zaniedbanych chłopców“ ćwiczyło się w wierze katolickiej i w sztuce karmienia, jakoteż pojenia bydła klasztornego, po kolei usługując przy mszy i pędząc krowy na paszę. Pani hrabina Odborska urządzała loterje fantowe na korzyść tego zakładu, a pani Zamecka pełniła obowiązki gospodyni na niejednym balu, z którego dochód przeznaczonym był na ten cel chwalebny. Pan Skryptowicz tymczasem starzał się śpiąc w niełasce kościoła i ludzi, i raz na rok pojawiał się w Rymiszowie na dni parę, gdzie w lecie klub tamtejszy odbywał jak dawniej swoje posiedzenia. Panna Wanda stała się była nieodstępną towarzyszką pani Zameckiej, i nie wychodziła za mąż, chociaż była interesującą i wcale jeszcze świeżą blondynką. P. Zgorzelski pojawił się na koniu po dłuższej niebytności, i p. Podwalska z podwojoną gorliwością jęła go swatać z panną Wandą.

Wielkie natomiast zmiany zaszły w młodszej generacji. Dzieci p. Skryptowicza dorosły, a wśród nich wyrosła na śliczną panienkę, wychowanka jego, panna Helena Grodecka. W szesnastym roku życia była to wysmukła brunetka, doskonale ułożona, z główką umeblowaną lepiej niż to się jeszcze w owych czasach zdarzało osobom będącym w jej wieku. P. Skryptowicz przeprowadził swój plan edukacyjny dość szczęśliwie, zamiast guwernantek i metrów poruczył nauczycielom z zawodu, prawdziwym pedagogom, rozmaite gałęzie nauki, i osiągnął świetne rezultaty w tym kierunku, podczas gdy p. Skryptowiczowa uzupełniła to wszystko macierzyńską troskliwością. Helenka nie domyślała się nawet, jak dalece była piękną i czarującą, tak jak nie domyślała się, zkąd się wzięła na świecie. W mgle odległej przeszłości gubiło jej się wspomnienie rozwalonej chaty, i samotnej wierzby, i złośliwej „neńki,“ i brudnych dzieci. Po tem, następowało długie pasmo kobiecych i dziecinnych pieszczot, i ciągłych dowodów miłości. Nie było rzeczy, którąby lubiła, a którejby ktoś nie starał się uczynić jej przystępną. Lubiła teatr: p. Zamecki korzystał z każdej swojej bytności w mieście, ażeby jak najczęściej zabierać do teatru panią Skryptowiczową wraz z jej dziećmi i Helenką. Lubiła tańczyć — opiekunka urządzała zabawy domowe lub prowadziła panny na wieczorki do znajomych, a rówieśniczki w zawody przystrajały ją i klaskały w dłonie z uciechy, że taka piękna. Po za tem wszystkiem, jak anioł opiekuńczy, przedstawiał jej się p. Zamecki, o którym jej mówiono, że jest jej przybranym ojcem, i do którego lgnęła z całą sympatją. Mniej lubiła „wuja Karola,“ zawsze zgryźliwego, a często opryskliwego. Słyszała, że p. Zamecki miał żonę, ale nie widziała jej nigdy i nieraz była ciekawą, poznać ją albo przynajmniej zobaczyć. Nie było po temu sposobności, bo p. Tadeusz nigdy nie przyprowadzał żony do Skryptowiczów, a gdy z nią przebywał w mieście, poruszała się w sferach towarzyskich, w których nie bywała Helenka. Wszelako, od czasu do czasu, całując ją w czoło, p. Tadeusz obiecywał jej, że kiedyś daruje ją swojej żonie, i że wówczas będzie miała prawdziwą matkę, równie dobrą i kochającą jak „ciotka“ Skryptowiczowa. Helenka zastanawiała się nad tą zagadkową obietnicą, i nad całą swoją zagadkową egzystencją, próbowała dowiedzieć się czegoś od ciotki, ale to jakoś nie szło. A potem, szesnasty rok życia upomniał się o swoje prawa, i nowe myśli zaczęły snuć się po młodej główce, rugując z czasem wszystkie inne....

...„Zdaje mi się nieraz, pisał p. Tadeusz pewnej wiosny do p. Karola—że bliskim już jest czas wykonania tego prawdziwego *coup de théâtre*, o którym marzę od dawna. Więcej niż w przeszłym roku, kiedy ci to mówiłem po raz pierwszy, Helena wydaje mi się zmienioną, smutną czasem, jakby niespokojną. Usiłowałem wybadać ją, powiedziałem jej wprost, jaką zmianę w niej spostrzegam, błagałem, jeżeli ją co niepokoi lub trapi, aby mi się zwierzyła. W pierwszej chwili było coś w jej twarzy, jak gdyby wyraz walki wewnętrznej, jestem pewny, że wahała się i nie mogła powziąć postanowienia. Wówczas zdobyłem się na odwagę, i po niejakiej chwili nadmieniłem, że i ja mam coś na sercu. Mianowicie, przypomniałem jej to, co przed ślubem słyszała odemnie o mojej wychowance. Teraz, dodałem, radbym, gdybym ją mógł wziąć do domu, zwłaszcza, że panna Ciechocka prawdopodobnie opuści nas wkrótce i pójdzie za mąż, skoro Alfred Zgorzelski od czasu swojego powrotu nie ustaje w zabiegach, i jak się zdaje, ustatkował się na dobre. W takim razie, Helena potrzebowałaby kogoś dla swego towarzystwa. Uważałem, jakie to na niej wywrze wrażenie. Uśmiechnęła się lekko, rzekłbym, z goryczą, i najobojętniej w świecie przystała na moją propozycję. Co sądzisz o tem wszystkiem? Nie zapominaj, że tego roku nie chciała nawet wyjeżdżać za granicę; że powtarza od czasu do czasu, iż wolałaby najlepiej przepędzić lato w waszem mieście, i tylko dla Wandy zjechała do Rymiszowa, bo Alfred gospodaruje zawzięcie w Kruchówce i może widywać się ze

swoją przyszłą tylko u nas. Ciągnie ją tedy coś do waszego miasta, coś, czego rad się domyślam.“

„Jak uważasz, czy Helenka miałaby ochotę, przyjechać na krótki czas przynajmniej do Rymiszowa? Donieś mi o tem jak najprędzej.“

— P. Alfred gospodaruje zawzięcie w Kruchówce i żeni się z panną Wandą — mruknął p. Skryptowicz, po przeczytaniu tego listu. To wszystko, w głowie mi się pomieścić nie może. Muszę ja zarządzić maleńkie śledztwo w tej sprawie.

I jakby w celu rozpoczęcia indagacji, p. Karol nasunął szlafmycę na głowę i usnął głęboko.

(C. d. n.)

Po * * *

Poeto salonów! — coś pierwszy wziął chrzest
Na lśniącem zwierciedle parkietów —
I sława pieśniarza oddaną ci jest
Wraz z wonią balowych bukietów;
Co siejesz dokoła błyskotnych słów deszcz —
I wdziękiem uśmiechów, ukłonów,
Przymilasz się światu — co mówi ci: „Wieszcz!“
Ja mówię: „Poeto salonów!“

Pieśń twoja jest sztuczną jak barwa i woń
Tych kwiatów, co wzrosły w cieplarni,
I kiedy ją głosisz — to wstydem się płoń!
Że z ducha nie wstała męczarni...
Że widzeń natchnionych nie zrodził ją błysk,
Co łzami zalewa powieki —
Lecz żeś jej brzmieć kazał — za oklask i zysk!
Żeś sprzedał jej boskość — na wieki!

Gorączki wewnętrznej nie pali cię żar,
Choć z wielkim talentem to głosisz!
Ojczystych twych podań nie nęci cię czar,
Miłości, w swej piersi nie nosisz!
Nie wzbiera ci serce goryczą i krwią
Nad nędzy, nieszczęścia, obrazem...
Lecz kiedy rozkażesz — to pieśni twe brzmią
Tych wszystkich akordów wyrazem!

Twe życie... jest tkanką miłostek i róż!
Rozsądnie, na gruncie oparte...
Nie patrzysz się na dno... bo cóż tam, ach cóż
Współczucia i spojrzeń twych warte?
Wszak talent, bez tego pomoże ci zlać
W pieśń tyle tej żółci i miodu,
Byś zyskał uznanie, — i godnie mógł stać
Na wielkim świeczniku — narodu!

Twój wielki, twój piękny, uwielbia cię świat
Bo nigdy nie zranisz zbyt mocno —
Nie jękniesz tak nigdy — by zadrżał i zbladł,
Strwożony — jak marą północną!
I może jak dawniej, pić, tańczyć i jeść,
Spokojnie, wśród lutni twej tonów..
A zato ci daje — pieniądze i cześć, —
O! cześć ci — poeto salonów!

1874. *Marja B.*

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. KAROLA LIBELTA.

(Ciąg dalszy.)

(*Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań, 1875.*)

Myśl jest „przedmiotowa“ (niejako przestrzeń), „podmiotowa“ (niejako czas) i przedmiotpodmiotowa czyli „kmiotowa“ (niejako siła). Ztąd rozkład logiki na „analitykę, djalektykę i systematykę,“ autor podaje nam tu w streszczeniu swoją „Myślnicę,“ rzecz już z powodu tej zwięzłości i nadmiaru nowych, wielekroć dziwnych, zmian naukowych, suchą i niesmaczną. Zwraca w końcu uwagę na „najwyższe prawo logiczne,“ które, jak się autor użala, przeszło i zaległo niepostrzeżenie. Tak jest. Poszło to, raz z powodu niezwykłej nazwy „bożyniec,“ którą autor to prawo najwyższe oznaczył; powtóre z powodu ogólności samego prawa, która jak Laplaca nie potrafiła zagrzać dla Wrońskiego, tak i czytelnika myślenie nie podniesie do uwielbienia jej autora. Formuła ogólna jest zaiste ważną, ale tylko dla tego, kto jej nieokreśloność potrafi określać, to jest w te ogólne znaki coraz inne szczegółowości podkładać.

Prawo to najwyższe logiczne wyrażone znakami tak wygląda:

$$A = (+A - A \pm A) = A$$

Widzimy od razu, że to jest prawo pierwotne Wrońskiego A=A, gdyż co jest w nawiasie algebraicznie znosi się. Wszakże wkładając w te litery znaczenia, osiągniemy prawo logiczne najwyższe. Pierwsze A, jest prawda achrematyczna, piastun wszystkiego co było, jest i będzie, Bogu tylko znana; nawias wykazuje wewnętrzny ustrój tej prawdy przez twierdzenie, przeczenie i kojarzenie; A ostatnie jest predykatem, czyli wypowiadającym się w umiejętności ludzkiej, prawdy tej słowem.

Kładąc w A początkowe Boga absolutnego, otrzymamy w nawiasie Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha św.; A końcowe jest Bóg, jak się na łonie czasu wśród ludzkości przedstawił. Jeżeli A znaczy słowo stwórcze, co się ma stać światem, to +A znaczy materję, —A ducha w tej materji, ±A świat rzeczywisty, materja i duch w jedni. Jeżeli A jest znanie Boże, wtedy co do treści +A wyraża empirję, —A spekulację, ±A humanistykę, a co do formy +A będzie matematyką, —A logiką, ±A estetyką; zaś A ostatnie wyraża przeistoczenie znania bożego na znanie ludzkie itd.

Przechodzimy do trzeciej i ostatniej części morfozyki, to jest do „estetyki.“ Jeżeli „świętość“ tamtego, to „piękność“ tego świata jest słonecznością, ciepłem i tchnieniem, głównym żywota pulsem i kresem. Tutaj już nie sama głowa myśląca, jak w matematyce i w logice, lecz także s e r c e i u c z u c i e najdzie przedmiot swój, a pozyska gorącą twórczość i ognistą wszechmoc! P i ę k n o ś ć rozbudza m i ł o ś ć i bywa ogólnego k o c h a n i a celem. (str. 460.) Rzeczywiście z większem gorącem i zapałem skreśloną jest ta trzecia część morfozyki. Z głowy nie z serca wytryskują sztuki piękne. Matką ich jest wyobraźnia, imaginacja, fantazja, ale akuszerem rozsądek. Są matematyki i logiki kojarznią, bo ani bez ilościowych rozmiarów, ani bez logicznego myślenia obejść się nie mogą, T w ó r c z o ś ć jest zadaniem sztuki, a w tem już leży, że nie może być naśladowaniem, czyli kopjowaniem natury. Ona jest a p o t e o z ą natury, ducha i człowieka.

Rozkład estetyki, jak każdej innej nauki, może być rozmaity, wedle tego z jakiego stanowiska autor na nią się zapatruje, i jakie jej główne pierwiastki, jako charakterystyczne znamiona działów przyjmuje. Trentowski wziął się tu na oryginalny sposób. Oddziela on sztuki piękne, jako osobne wytwory piękna, od szczególnych znamion samego piękna, które „pięknościami“ nazywa, np. liryczność, dramatyczność, epiczność; — oraz od sposobu, w jaki się sztuka traktuje, a co nie z piękna, ale z osobistości artysty wypływa, np. klasyczność i romantyczność. A że każda piękność i każdy rodzaj jej traktowania, na wszystkie sztuki piękne się rozciąga, widział się autor zmuszonym przy każdej osobnej piękności i przy każdym rodzaju jej traktowania przez artystę, przytoczyć albo wszystkie sztuki piękne, albo przynajmniej główniejsze z nich, w celniejszych przykładach, co sprowadzić musiało niemiłe powtarzanie się, a pewien zamęt przedmiotów sztuki, nagromadzonych dowolnie jakby w osobnych koszach, gdzie bezładnie są pomięszane.

Jak nie możemy pochwalić tego podziału całej estetyki na „artystykę“, „kallizofję“ i „propedeutykę“, tak cenimy wysoko umiejętny podział artystyki, na sztuki „kształtu“. „brzmienia“ i „słowa“, czyli na sztuki piękne dla oka, dla ucha i dla myśli, czyli dla przeświadczenia. Wszelako znakomity nasz estetyk musiał tu wpaść w pomyłkę z tego powodu, że pominął całkiem „sztuki społeczne“, urabiające piękno na rzeczywistości żywota. Oneby były istotnie humanistyki piękną formą. Gdy tego nie uczynił, zmuszonym był ze „sztuk mownych“ zrobić estetyczną formę humanistyki. Chociaż powinno go było uderzyć, że „słowo“ nie jest jednością „kształtu“ i „brzmienia“, jak utrzymuje: następnie, że słowo, będące wyrazem myśli i uczucia, jest także brzmieniem, a nawet muzykalnem, jak w poezji i w deklamacji; a na odwrót brzmienie muzyki lub śpiewu, jest także wyrazem myśli i uczucia.

Do „wzrokowych“ sztuk, policza autor aż siedm, jakby chciał koniecznie ich liczbę powiększyć ponad zwyczajną podziału trójkę. „Rysunek“ jest każdego kształtu konieczną podstawą artystyczną, mieści się więc i w architekturze i w malarstwie i w snycerstwie, a nie powinien stanowić osobnej estetycznej sztuki. Do snycerstwa przyłączone zawsze były „posążnictwo“ (wyrób posągów) płaskorzeźby i rzeźby i wypukłorzeźby; tu widzimy porobione z tego osobne działy sztuk wzrokowych. „Sztycharstwo“, „modlarstwo“ (urabianie modeli) „ogrodnictwo“, „taniec“, „gimnastyka“, „mimika“, o których autor mimochodem wspomina, należą albo do rzemiosł, inne do sztuki, albo są sztukami społecznemi.

Do sztuk „słuchowych“ policza artystyka: „muzykę“, „śpiew“ i „deklamację“. Trzeba było autorowi koniecznie oddzielić śpiew od muzyki, a deklamację od poezji i wymowy, aby złożyć trójkę muzykalnego brzmienia. Chociaż przecie widocznie wymowa i poezja do sztuk słuchowych należą.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XIII.

Cofam niniejszem uroczyście wszystko, cokolwiek napisałem lub powiedziałem kiedy przeciw jak najzupełniejszej, jak najdalej idącej emancypacji kobiet. Żądam, ażeby im za młodu, zamiast lalek, kupowano rewolwery kieszonkowe, i ażeby je zaczynano uczyć szermierki jednocześnie z tańcem. W każdej szkole sztabu i inżynierji powinna być zarezerwowaną odpowiedna ilość miejsc dla przyszłych Napoleonów płci żeńskiej. Dziennikarz, któryby się gorszył tem, że w Ameryce panie pojedynkują się jak w Heidelbergu studenci, powinien być zamkniętym do ciężkich robót na całe życie.

*

Powodem tej mojej nagłej zmiany przekonań jest fakt rozgłośny, opowiadany w pismach francuskich, niemieckich i polskich. Jest w Paryżu niejaki p. Paweł Granier, mieniący się de Cassagnac, jedno z najzuchwalszych i najlichszych indywiduów, należących do szajki byłego drugiego cesarstwa. Indywiduum to jest rodzajem podwójnego rozbójnika, bo piórem odbiera swoim przeciwnikom cześć, a szpadą, życie. Nie było prawdy ani sławy, na którąby się nie targnął, nie było pojedynku, z któregoby nie wyszedł szczęśliwie. Wszystkie oszustwa i zbrodnie, które zgubiły Francję i sponiewierały jej imię, miały w nim zwycięzkiego obrońcę. Zabił prawie tyle ludzi, ile ich zbezcześcił.

Ten to jegomość, któremu wszystko dotychczas uszło bezkarnie, obraził p. Olgę Janinę, domniemaną autorkę opłakanych a wspomnianych na tem miejscu *„Souvenirs d'une cosaque.“* P. Janina zamierzała dać koncert, i posłała do p. Cassagnac jakiegoś duchownego z prośbą, by umieścił wzmiankę o tej produkcji muzycznej. P. Cassagnac odpowiedział brutalną niegrzecznością, drapując się w katońską togę przyzwoitości — Cassagnac i przyzwoitość! Nasza tedy pianistka, przebrana po męzku, napada go w kawiarni i okłada szpicrutem. Obiła, wsiadła do dorożki, i pojechała do domu.

Jest to wprawdzie czyn rycerski, którego wspomnienie „po kądzieli“ należałoby niezawodnie zaliczyć do mniej pożądanych tradycyj rodowych. Pominąwszy atoli tę stronę faktu, trudno utaić zadowolenie, że wymiar sprawiedliwości bodaj w ten sposób nie ominął pana de Cassagnac. Zasłużył on od tak dawna i tak obficie na to, co go spotkało, że niejeden wraz ze mną uczuje skłonność do patrzenia przez palce na właściwość postępku p. Janiny, i życzyć będzie skórze dziennikarskiego apologisty Sedanu jak najdłuższych *„souvenirs* d'une cosaque.“

Na wszelki wypadek, mamy tu dowód, że panie umieją zadawać rany. Czy umieją goić takowe, oto pytanie, na które wiedeńscy profesorowie Späth i Billroth odpowiadają przecząco. Zanosi się wprawdzie w „Tygodniu“ na ogłoszenie zdania innej powagi lekarskiej, przychylnie usposobionej dla studentek medycyny, ale to nie wiem czy wystarczy do zbicia wszystkich wątpliwości. Nadmienić zresztą należy, że Späth i Billroth odmawiają kobietom głównie uzdolnienia do wyższych zadań nauki, do samodzielnego jej rozwijania. O praktyce lekarskiej nie wspominają oni wcale, jakkolwiek np. w Nowym Jorku niektóre lekarki zarabiają po kilkanaście tysięcy dolarów rocznie na swoich pacjentach i pacjentkach. Gdyby wziętość lekarza świadczyła o jego uzdolnieniu, byłby to argument niezbity. Tymczasem tak nie jest, ani wziętość, ani wysokość zarobku nie dowodzą czego innego, jak tylko, że lekarz jest w modzie, lub że umiał stworzyć sobie liczną i korzystną klientelę. Do skutecznego zaś w istocie wykonywania praktyki lekarskiej potrzebne są przymioty, wprost przeciwne naturze kobiecej, a nieczęste i u mężczyzn. Objektywność ta, nader rzadka, spotykać się przecież daje u mężczyzn — u kobiet nigdy. Dlatego też, gdyby nawet kobieta dzięki nadludzkim usiłowaniom odbyła z powodzeniem studja przygotowawcze i gdyby później z jak najlepszym skutkiem poddała się ścisłym egzaminom z medycyny, trudno będzie znaleść pacjenta, któryby czując się niebezpiecznie chorym, wolał przywołać lekarkę, niż lekarza. Natomiast, od czasów Semiramidy i królowej Massagetów aż do czasów p. Olgi Janiny, niewiasty dały mnóstwo dowodów, że mogą wyręczyć mężczyzn, gdziekolwiek wystarcza zapatrywanie si subjektywne na ludzi i rzeczy. Niechaj to służy za wskazówkę dla gorliwych zwolenniczek emancypacji, w którą stronę zmierzać powinne ich usiłowania. *)

* * *

Gruntowna praca p. Wdowiszewskiego o ilustracjach naszych narodowych poetów, a mianowicie niedawna wzmianka o najmniej udałych upostaciowaniach klucznika Gerwazego z „Pana Tadeusza“, przypomniała mi niedokończony obraz Leopolskiego, który zwracał naszą uwagę w pracowni artysty. Płótno to jest obecnie w posiadaniu p. Ludwika Marka we Lwowie, którego własnością jest także pierwotna akwarela tego samego malarza, przedstawiająca Protazego, i wielka kompozycja „Śmierć Klonowicza.“ Otóż żałować wypada, iż p. Wdowiszewski nie widział tego Gerwazego. Jest to potężna głowa, pełna owej demonicznej prawie siły, jaką uderza nas klucznik na tle zresztą przeważnie sielankowem poematu Mickiewicza. Obraz ten jako malowidło olejne nie doczeka się ponoś nigdy wykończenia, ale w kopji fotograficznej lub rysunkowej byłby tak wyborną ilustracją, jakiej tylko najwybredniejszy krytyk życzyć sobie może. Kto wie, może ta wzmianka stanie się powodem, że będziemy mogli oglądać Gerwazego lub jego fotografję na wystawie?

* * *

„Gazeta Lecka, Prawdziwy przyjaciel ludu.“ Taki tytuł nosi ćwiartka druku gotyckiego, którą mam przed sobą. Gdyby nie data r. 1875 możnaby sądzić, że to jakaś publikacja z czasów Zygmuntowskich, tak dziwnie i staroświecko wyglądają te pismiona. Kto był kiedy w Lecu, kto wie, gdzie to leży? Od czasu ponoś Konrada Mazowieckiego, a może i nigdy, Polska nie panowała w tych stronach, chyba pośrednio, jako zwierzchniczka książąt pruskich. Lecu należy szukać na mapie jako Lötzen, przy drodze żelaznej wiodącej z Królewca przez Pr. Iłów ku granicy Augustowskiego województwa. Okolicę tamtejszą zamieszkuje ludność mazurska, wyznania luterskiego, pozbawiona wszelkiej łączności z narodowemi dążeniami polskiemi, ale mimo to używająca do dziś języka ojców, jakkolwiek skażonego. Kaziły go jeszcze bardziej publikacje, przez rząd niby dla ludu wydawane. Obecnie pan M. Gersz podjął się wydawać pod powyższym tytułem tygodnik w narzeczu ludowem, ale oczyszczonem z germanizmów. Na próbę, przytaczam tu ustęp artykułu „z Wiednia:“ żałując, że nasze drukarnie nie mają czcionek, jakiemi się tłoczy to pismo. Oto ów ustęp:

„Gazeta jezuicka i papieżnicka tytułująca się „Vaterland“, to znaczy „Ojczyzna“, zgoła co nie oszaleje od złości, że Hiszpanie Alfonza za króla swego obrali, a nie Don Karlosa, owego wodza rozboyników. Znać, z kim papieżnicy rey mają i kto im do smaki. Oto im smakują tyrany, ciemiężyciele i zboycy, co lud dręczą. A to ma być po chrześcijańsku! O psoto!“

*) Ponieważ kwestja emancypacji kobiet, należy do do spraw, nad któremi długo jeszcze dyskutować będziemy, przeto obok słów naszego kolegi, zestawiamy głos drugi, który czytelnik we właściwem znajdzie miejscu. Redakcja.

Jak widzimy, jest to książkowy język polski, przeplatany raczej archaizmami, a iżeli odmianami dyalektowemi. Oto są nazwiska trzech czytelników, którzy rozwiązali „Zagodywki“ (Zagadki) umieszczone w „Gazecie Leckiej:“ Hoffm n, podatek wybierający w Sąpłacie pod Dźwierzutami, Gottlib Rafalski, członek rady kościelnej w Bitkowie w Oleckowskiem, i dwunastoletny syn pana mistrza Adama Romota z Rogoyniów pod Oleckiem.

Niedawno zdarzyło nam się czytać w wiedeńskiej „Pressie“ prawdziwy jęk boleści, wydany przez jakiegoś Niemca, z powodu materjalnej n dzy, na jaką snać rozmyślnie rząd pruski skazał mazurską ludność Prus książęcych. Artykul ten nosił napis „der Grickenbauer“ — tak Niemcy nazywają Mazurów z powodu iż uprawiają wyłącznie prawie grykę. Grunta mokre i kwaśne, na drenowanie włościan nie stać, wiodą tedy żywot nadzwyczaj nędzny. Jednakowoż, jak widzimy, czytują dzienniki. Czy nie skorci kogo zaprenumerować „Gazetę Lecką“, ażeby przyjść w pomoc uczciwemu a pożytecznemu przedsiębiorstwu?

Jan Lam.

KOBIETY NA UNIWERSYTECIE.

Od dłuższego już czasu ludzie myślący, dla których kwestja tak zwanej emancypacji kobiet nie jest obojętną, zastanawiają się nad następującemi pytaniami: 1) czego kobiety uczyć się mają; 2) czego nauczyć się mogą; 3) czy piastowanie przez płeć piękną nauką zdobytych stanowisk, okaże się korzystnem dla społeczeństwa. Przedewszystkiem zaś usiłują zbadać, czy kobiety są uzdolnione do nauk uniwersyteckich, a więc czy będą mogły odpowiednio sprawować urzędy adwokatów, lekarzy, profesorów i t. d. Przeciw studjum uniwersyteckim wystąpił prof. Bischof w Monachium — zaco od jednej z uczonych autorek bardzo ostrą otrzymał odprawę; w bieżącym zaś miesiącu, o czem doniósł autor „Pogadanek“, znakomity lekarz wiedeński i prof. Dr. Billroth w wykładzie: *„Die Frau auf dem Gebiethe der Medizin“* oświadczył się także przeciw naukom medycznym kobiet, chociaż równocześnie musiał przyznać, że kobieta przy bardzo natężonej pracy umysłowej może stanąć na równi z wykształconym mężczyzną; brakuje jej tylko fantazji twórczej, budującej, a tej żadnem usiłowaniem nie nabędzie. Tak zwolennicy jak przeciwnicy nauk uniwersyteckich opierają dotąd swoje twierdzenia po największej części na dowodach teoretycznych, a bardzo rzadko na własnych spostrzeżeniach. Dlatego też niezmiernie ważnem dla rozwiązania, a choćby tylko dla posunięcia o krok naprzód tej kwestji jest sprawozdanie profesora zurychskiego uniwersytetu, Dra. Wiktora Böhmerta. Sprawozdanie to a raczej rozprawa nosi tytuł: *„Das Frauenstudium auf der Universitaet Zürich“*. Autor podaje tu rezultaty nauki uniwersyteckiej kobiet za przeciąg dziesięcioletni, od ustanowienia dla kobiet auli uniwersyteckiej wspólnej z mężczyznami t. j. od r. 1864 do r. 1874.

Przypuszczenie kobiet do nauk uniwersyteckich w Zurychu, naraziło tenże uniwersytet na niebezpieczeństwa i nadużycia, od jakich zresztą nie jest wolna żadna nowa instytucja. Od kobiet nie żądano wstępnego egzaminu — łatwo więc było o imatrykulację, na podstawie której udzielano prawo pobytu. Ta łatwość ściągnęła do Zurychu wielką liczbę Rossjanek, przeważnie nihilistek, z których mała tylko cząstka oddawała się rzetelnie nauce, podczas gdy reszta utworzywszy kolonję emigrantek, zajmowała się polityką i nihilistycznemi mrzonkami. To spowodowało rząd rossyjski w czerwcu r. 1873 do wydania rozkazu, aby wszystkie poddanki cara, uczące się w Zurychu, powróciły do kraju najpóźniej do 1. stycznia 1874 r. Ukaz ten w połączeniu z uchwałą senatu, wywołaną kilkakrotnem doświadczeniem, że tylko ci cudzoziemcy jakoteż cudzoziemki, którzy złożą egzamin wstępny, zostaną imatrykulowani, położył raz na zawsze tamę dalszemu nadużyciu.

Frekwentacja kursów odbywała się w początkach (1864) bardzo słabo; stan ten trwał aż do r. 1871. w którym to czasie miał miejsce wspomniany napływ Rossjanek, który nie ustawał do r. 1873. Z 13 Rossjanek uczących się w letnim semestrze 1871 wzrosła liczba w następnym kursie do 54, poźniej do 96 i 100 spadła zaś w zimowym semestrze 1873/74 i w letnim 1874 na 12. W ostatniem półroczu było studentek razem 29, z których 16 na wydziale medycznym a 13 na filozoficznym.

Przechodząc do rezultatów wspólnej nauki w Zurychu, zauważył Dr. Böhmert, że jakkolwiek na podstawie dotychczasowych spostrzeżeń nie można jeszcze stanowczo orzekać, ażali wszystkie uniwersytety powinne być dla kobiet otwarte, mimo to udowadniają one aż nadto jasno, że próba w Zurychu nietylko się udała, lecz nawet znakomitemi poszczycić się może wynikami. Doświadczenie nauczyło, że kobiety są zdolne do głębokiej nauki, rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień, ale wykryło także, co się zresztą samo przez się rozumie, że zarówno mężczyzn muszą mieć nauki przygotowawcze, aby w życiu akademickiem ze swymi męzkimi kolegami na równi stanęły. Potrzebują więc przedewszystkiem dobrze uorganizowanych gimnazjów lub innych zakładów przygotowawczych, zanim w większej liczbie zaczną uczęszczać na wykłady uniwersyteckie. Ta okoliczność jednak nie może być przeszkodą do uczęszczania na uniwersytet dla tych kobiet, które potrzebnych ku temu wiadomości w inny sposób nabyły. Dla tych wykłady uniwersyteckie powinne wszędzie stać otworem. W Zurychu wydarzyły się nie rzadkie wypadki, że kobiety w przeciągu 4 miesięcy nabywały takich wiadomości ze starożytnych języków i klasyków, jakiemi najlepszy czasem uczeń gimnazjalny wykazać się nie może. Liczne przez kobiety w uniwersytecie i politechnice zurychskiej składane egzamina, okazały, że niektóre kobiety nietylko w nauce języków i literatury, lecz także w matematyce i naukach przyrodniczych otrzymywały odznaczające się stopnie, i że w tych przedmiotach nie pozostawały wcale za mężczyznami.

Argumenta przytaczane przeciw nauce uniwersyteckiej kobiet w ogólności, a w szczególności przeciw uczęszczaniu na wydział medyczny, uważa Dr. Böhmert za niczem nie usprawiedliwione — a na poparcie słów swoich przytacza długi szereg publicznych przemówień profesorów w Zurychu, którzy wykładają medycynę, a z których każdy o uczących się kobietach najkorzystniej się wyrażał.

Główny atoli dowód udania się kursów uniwersyteckich stanowi niezawodnie okoliczność, że na uniwersytecie zurychskim zdało już 10 kobiet doktoraty bądź z medycyny, bądź z filozofji a jedna tylko upadła przy egzaminie. Podczas tych egzaminów profesorowie medycyny publicznie chwalili uczennice za ich wytrwałość, energję i pilność, jakoteż za zachowanie się pełne godności. Wiadomym jest fakt, że dwie panie, przybywszy do Zurychu, zapisały się na medycynę — a nie umiejąc języków klasycznych — przy pomocy profesorów gimnazjalnych w krótkim stosunkowo czasie, i uczęszczając prócz tego na kursa medyczne, doszły do takiej doskonałości, iż jedna z nich napisała rozprawę doktorską po łacinie, a druga po grecku.

Większego jeszcze znaczenia jest fakt, iż wiele z pomiędzy studentek zurychskich zyskało już w praktyce uznanie. Kilka lekarek osiadło w Rossji ciesząc się wielkiem powodzeniem i zaufaniem publiczności; — 2 Angielki w Zurychu zajmują ważne lekarskie stanowiska w angielskich szpitalach dla kobiet; — 1 Amerykanka jest lekarzem w szpitalu dziecięcym w Bostonie; a pierwsza Szwajcarka, która w Zurychu złożyła doktorat, praktykuje tamże jako lekarka i zaręczyła się właśnie z jednym ze znakomitych profesorów politechniki zurychskiej.

Rozprawę kończy Dr. Böhmert wyznaniem, że jakkolwiek nie twierdzi jeszcze, aby próba wspólnej nauki kobiet i mężczyzn. calkiem się już udała, i chociaż tę wspólną naukę nie uważa na przyszłość za zupełnie zabezpieczoną — mimo to musi przyznać, że usiłowania nie są ani nieudałe ani przedwczesne, — owszem sądzi, że nadszedł najwyższy czas, aby otworzono podwoje nauki wszystkim kobietom, a specjalnie uzdolnionym dano sposobność rozwoju prac umysłowych celem dalszego szerzenia cywilizacji. Dowiódłszy naostatku, że najbłędniejszem jest mniemanie, jakoby kobieta przez nauki traciła wrodzoną delikatność i szlachetność, lub żeby przygotowanie do pewnego zawodu życia odwodziło ją od właściwego przeznaczenia, kończy swoją pracę następującemi słowy:

„Państwo i społeczeństwo mają obowiązek obalić wszelkie prawne i administracyjne trudności, które kobiecie stoją na przeszkodzie w walce o byt i nie dopuszczają, by odpowiednio spożytkowała swoje zdolności. Kobieta powinna znaleźć się w możności wybrania sobie zawodu odpowiadającego jej zdolnościom i upodobaniu, a uniwersytety niech otworzą swoje aule wszystkim osobom, które do tego są zdolne i posiadają odpowiednie warunki“.

Dr. Edmund Burzyński.

Z NATURY.

Djament.

(Ciąg dalszy.)

Nierównie później jak w Indjach, odkryto djamenty w Brazylji. Przed r. 1727 Hiszpanie ani przypuszczali, że drogi ten klejnot znajduje się w niektórych okolicach rzecznych tego kraju. Za dni naszych spotkać go można najczęściej w Sao Joao do Barro, która to okolica nazywa się z tego powodu ponętnie „Diamantina“. Ponieważ djament spoczywa najczęściej w piasku rzecznym, przeto aby go dostać, trzeba wpierw wodę spuścić, co nieraz nadto drogo kosztuje. Gdzie rzeki wyschły, tam można kopać odrazu a więc i koszta są mniejsze.

Legowiska djamentów są porozrzucane, a niektóre z nich bywają nadzwyczaj bogate; lecz jaka gwiazda przewodnia może człowieka do tych skarbów zaprowadzić? Gwiazdy tej nie znamy, przypadek odgrywa tu główną rolę, a biedny poszukiwacz pracuje nieraz długie lata – o chłodzie i głodzie, podczas gdy o kilka kroków od niego znajduje się gniazdo djamentów mogące odrazu zrobić go człowiekiem niezawisłym. Ilość znalezionych w Brazylji djamentów jest bardzo znaczna, ale ich wielkość rzadko przekracza średnią miarę.

W handlu szacują djament według wagi, której jednostką jest karat. Jeden karat ma 4 grany a 72 karaty idą na jeden łut koloński. Brazylijskie djamenty ważą przeciętnie do 2 granów; takie, które by ważyły od 1—5 karatów są rzadsze, a kamienie ważące od 30—40 karatów należą do największych rzadkości. Mimo to dochody z djamentów są w południowo amerykańskiem cesarstwie dość znaczne. W pierwszych dziesięciu latach po odkryciu djamentów w Brazylji zebrano 200.000 karatów, a od roku 1740 do 1772 nawet 1,700.000 karatów; od tego czasu bogactwo zmniejszyło się; co się tem tłumaczy, że kamienie, które najłatwiej można było znaleźć, najpierw zostały zabrane. W ogóle obliczono że po r. 1850 znaleziono w Brazylji 50 cent. djamentów, za które otrzymano 120 miljonów talarów. Do najszczególniejszych odkryć nowoczesnych należy znalezienie djamentów w Uralu, przez ekspedycję Humboldta w r. 1829.

Djament był więc znany w najdawniejszej starożytności, a człowiek zawsze go cenił i szukał. Rzecz naturalna, że z kamieniem tak rzadkim musiało bajek nawiązać się bez liku. Pliniusz, wielki naturalista starożytności, którego wiedza szła w parze z łatwowiernością właściwą ówczesnym wiekom, opowiada o djamentach rzeczy niestworzone. Według niego, znajduje się on tylko w jamach złotem napełnionych i to bardzo rzadko. Jeśli go na kowadło położymy to odrzuca uderzenie młota. Twardy ten kamień mięknie tylko w krwi koźlęcia, i Pliniusz składa dzięki bogom, że tak wielką tajemnicę ludziom objawili. Rzadkość tego klejnotu udowadnia najlepiej okoliczność, że szalona bajka, którą Pliniusz swoim czytelnikom opowiada, utrzymywała się półtora tysiąca lat, a nawet Albertus Magnus powtarzając ją, niewiadomo czy serjo czy żartem dodaje ze swej strony, że kozieł powinien przedtem wypić sporą szklanicę wina i nie zaszkodziłoby wcale gdyby w dodatku zjadł trochę pietruszki. Dziś wie każde dziecko, jaką wartość mają tego rodzaju baśnie, i dla tego ze spokojnem sumieniem możemy przejść nad niemi do porządku dziennego.

Stwierdzoną jest rzeczą, że cała starożytność nie znała prawdziwego blasku djamentu, ponieważ sztuka szlifowania go i polerowania jego własnym proszkiem, została wynaleziona dopiero w XIV. stuleciu. W r. 1373 istniał w Norymberdze osobny cech, którego członkowie zajmowali się wyłącznie szlifowaniem djamentów. Sztukę powiększania ognia djamentu przez regularne szlifowanie, wynalazł właściwie Ludwik Van Berquen z Brugge we Flandrji w XI. wieku. Nowej swojej sztuki doświadczył on natychmiast na wielkim djamencie, który książę Karol Odważny powierzył mu w tym celu. Jest to ten sam djament, który do dziś dnia jest znany pod nazwiskiem „Sancy“.

Najcelniejszą formą używaną przy cięciu djamentów jest „brylant“ polegający w tem, że dwie ścięte piramidy łączą się z sobą na wspólnej podstawie; jeśli brakuje jednej połowy, mamy „pół-brylant“. Kardynał Mazarin był pierwszy, który w r. 1660 kazał ciąć djamenty w kształcie brylantów. Drugą formą jest „rozeta“ którą trzeba widzieć aby jej kształt zapamiętać, trzecią cięcie „schodkowe“ i kilka innych mniej ważnych.

Przypatrzmy się teraz największym brylantom jakie świat posiada. Prawie każdy z nich ma szczególną a często nawet zakrwawioną historję. Wyjątek stanowi jedyny brylant „Braganza“, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa nie jest on djamentem tylko kosztownym topazem. W r. 1741 znalazła go murzynka w Brazylji; teraz znajduje się w skarbcu portugalskim, gdzie go złożył król Joao VI. gdy opuściwszy Brazylję w r. 1821 przywiózł do Portugalji najpiękniejszy zbiór brylantów, jaki kiedy świat widział. Całe wory klejnotów dobrze opakowane i opieczętowane złożył ten szlachetny książę w piwnicach banku Lizbońskiego, gdzie 40 lat leżały nietknięte, aż w r. 1863 zrozumiały Kortezy, że to przecież szaleństwo, aby tak wielki kapitał leżał w piwnicy bez pożytku, poczem djamenty zostały na złoto przemienione, to jest sprzedane. Gdyby „Braganza“ była djamentem, to wartość jej, ponieważ waży 1680 karatów ($^3/_4$ funta) reprezentowałaby drobnostkę, bo tylko 400 miljonów talarów. Ale jakeśmy to już powiedzieli, nie jest to prawdopodobnie djament, lecz topaz czysty jak łza. Jeżeli biały topaz dobrze jest cięty to go od brylantu prawie odróżnić nie można. Szalony hofrat Baireis, którego kłamstwa znane są w całym świecie, utrzymywał, że cesarz chiński dał mu brylant ważący trzy funty. Goethe oglądał ten kamień, był on wielkości jaja strusiego, i gdyby nie był kryształem górskim, wartością swoją przewyższał by znacznie dzisiejszy dług rządu francuskiego. Tak więc i „Braganza“ nie jest zapewne djamentem, a to tem prawdopodobniej, ile że w r. 1858. brazylijski minister Lisbao pokazywał we Wiedniu djament ważący 11 łutów, który przez nadwornych jubilerów został oceniony na 50 miljonów franków, a po doświadczeniu, jakie z nim zrobił pewien profesor mineralogji, spadł niesłychanie w cenie, ponieważ okazało się że nie był to wcale djament.

Radscha z Mattan na Borneo posiada śliczny klejnot familijny w kształcie gruszkowatego djamentu, ważący 367 karatów; i tu nikt nie wie czy to prawdziwy djament.

Sławny „Kohinor“ (to znaczy „Góra światła“) miał początkowo ważyć 11 łutów; był on własnością Wielkiego Mongoła z Delhi, następnie przeszedł w posiadanie królowej angielskiej, która go kazała wyszlifować, w kształcie potrójnego brylantu. Szlifowaniem zajmował się p. Voorsanger z Amsterdamu. Praca rozpoczęła się dnia 6. lipca r. 1852 w zakładzie jubilera królowej angielskiej, a że wzięto do pomocy maszynę parową o sile 4 koni, dokonano więc dzieła w ciągu 38 dni roboczych, licząc na jeden dzień pełnych 12 godzin. Wskutek szlifowania zmniejszyła się jego waga o 80 karatów, tak że dziś zamiast dawnych 186 waży tylko 106 karatów.

„Orłów“ w berle cesarza rossyjskiego waży $194^3/_4$ karata, jest najczystszej wody, ale cięcie jego pozostawia wiele do życzenia. Początkowo był własnością Szacha perskiego Nadira, i znajdował się w jego krześle tronowem. Po zamordowaniu tego księcia wpadł on w ręce ormianinowi nazwiskiem Szafras, który wraz z innemi klejnotami kupił go od jednego z rokoszan za 50.000 piastrów. Szafraś był kupcem przebiegłym i wiedział doskonale, gdzie naj-

lepiej płacą wielkie djamenty; udał się więc do Amsterdamu, gdzie zawiązał stosunki z Lazarowem moskiewskim jubilerem nadwornym.

Ten tak zentuzjazmował ówczesną carycę, Katarzynę II. że ta nabyła kosztowny kamień za 450.000 rubli srebrnych, i w dodatku wręczyła ormjaninowi dyplom szlachectwa. Rzecz szczególna, że „Orłów“ i „Kohinoor“ tworzą jak by jedną całość, a w r. 1832 znaleziono u pewnej bardzo ubogiej rodziny perskiej trzeci jeszcze djament, który jak gdyby był odcięty od obydwu poprzednich. W zamierzchłej starożytności trzy te kawałki musiały być razem złączone, i dopiero później, środkiem, który dla nas pozostanie tajemnicą, rozbito djament na trzy części, z których każda odbywała długą pielgrzymkę po świecie, dopóki nie spoczęła w skarbcu książęcym.

(D. n.)

POLEMIKA*).

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ do badań i pomysłów p. dr. Antoniego Małeckiego.— Rzecz we własnej obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego.

W numerze 8. „Tygodnia“ z roku bieżącego znajduje się artykuł pn. „O sumienności autorskiej“, którego celem jest pracę moją, znaną od lat kilku czytającej publiczności, napiętnować jako plagiat bezprzykładny i jako taki powszechnej podać pogardzie.

Dzieło, o którem mowa, nosi tytuł: „Zarys dziejów literatury polskiej na podstawie badań najnowszych pracowników dla użytku szkolnego i podręcznego nakreślił Adam Kuliczkowski. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda 1872.“

Aczkolwiek cały wyżej powołany artykuł „Tygodnia“ tak przeciw przytoczonej pracy mojej, jak niemniej nawet przeciw mojej osobie zdaje się być skierowanym, sądzę jednak, że główne zarzuty zawierają się w następujących ustępach:

„Dzieła treści poważnej w rozmaity powstają sposób. Jedni poświęcają długie lata pracy sumiennej i wytrwałej, aby potem spisać wyniki badań samodzielnych, drudzy nie mając talentu pierwszych, bądź popularyzują wiedzę jednego tylko badacza, bądź zestawiają badania kilku razem, przytaczając atoli źródła, z których zaczerpnęli pierwszych wiadomości o przedmiocie przez siebie omawianym,— inni nareszcie pozbawieni nietylko uczoności pierwszych, lecz także sumienności drugich, zabierają uczonym ich pracę bez przytoczenia źródeł, a przerobiwszy ją na swoją modłę, puszczają dzieło w świat w tej błogiej nadziei, że koła czytające nie postrzegą się na podstępie, i zasługę oryginalności im przypiszą, nie zaś tym, którym właściwie ona się należy“.

„Pierwszych nazywamy uczonymi, drugich kompilatorami, trzecich plagjatorami“.

„Jeżeli pisarz, przywłaszczający sobie podstępnie cudzą wiedzę, którą już drukiem ogłoszono, zasługuje na publiczną naganę i nazwę plagjatora, to jak ukarać i nazwać tego, który uczonemu zabrał z rękopisu jego pracę, aby potem pod własnem wydać ją nazwiskiem?“

„Dr. Antoni Małecki przez ciąg lat kilkunastu wykładał historję literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim Między słuchaczami p. Małeckiego zasiadał niejaki p. Adam Kuliczkowski, który spisawszy prelekcje swego profesora, zabrawszy mu cały system i podział na epoki, rzeczy najważniejsze i zupełnie oryginalne, wydał potem wszystko w skróceniu pod własnem nazwiskiem, jako własną pracę“.

Z powyższych słów wypływa w logicznej konsekwencji:

a) że prelekcje p. dr. Antoniego Małeckiego spisawszy, wydałem w skróceniu pod własnem nazwiskiem, jako własną pracę;

b) że prócz tego cały system i podział na epoki, rzeczy najważniejsze i zupełnie oryginalne, zabrałem p. drowi. A. Małeckiemu i ogłosiłem podstępnie jako owoc własnych poszukiwań.

Za całą odpowiedź na powyższe zarzuty mógłbym przytoczyć następujące słowa z przedmowy do mojego „Zarysu“:

„Jakkolwiek w skromnym zakresie podjąłem niniejszą pracę, ofiarując ją nie uczonym znawcom piśmiennictwa ale przedewszystkiem młodzieży, która dopiero poznać pragnie jego bogactwa, toć tem bardziej należało mi sumiennie a godziwie spożytkować to wszystko, co w ostatnich czasach uczyniono dla tej umiejętności. Liczne monografje i opracowania.... sprostowały już nie jedno mylne wyobrażenie, usunęły nie jedną wątpliwość. Nie będę tu wyliczał tych wszystkich pracowników, między którymi nie rzadko świecą pierwsze imiona; wyznam tylko, że co dostępne mi było z monografji lub opracowań, to wśród układania obecnej książki nie uszło mojej baczności. Prózen uroszczeń, chętnie przyznaję wszystkim wszystko“.

Co się tyczy podziału na epoki, mógłbym przytoczyć następujące słowa pomienionej przedmowy:

„Podział historji literatury na epoki i okresy stawiał z razu pewne trudności; z przekonania nie mogłem pójść za żadnym, ile ich mamy w podręcznych książkach i obszerniejszych historjach; kusić się o nieudałe próby nie chciałem. Jedynie właściwe zapatrywanie się w tej kwestji polega na różnicy kolejno w piśmiennictwie naszem zmieniających się światodziejowych idei. Po głębokich badaniach wypowiedział je u nas pierwszy p. dr. Małecki, najszanowniejszy mój profesor; a że takowe znane już jest i szerszej publiczności, więc wypadło je przyjąć i zastosować w niniejszej książce“.

Co się tyczy ogłoszenia tego podziału dla szerszej publiczności, powołałem się w przypisku do powyższych słów mojej przedmowy na artykuł, który w niniejszem wyjaśnieniu szczegółowemu podam rozbiorowi.

Z powołanych ustępów przedmowy do mojego „Zarysu“ wynika:

a) że korzystałem ze wszelkich dostępnych mi monografij i opracowań tyczących się poszczególnych kwestyj naszej literatury;

b) że podział na epoki przyjąłem wprawdzie od p. dr. Małeckiego, jednak w przedmowie do mojego „Zarysu“ wyraźnie oświadczyłem, iż takowy nie jest owocem moich poszukiwań, lecz wynikiem badań p. Małeckiego.

Nieuprzedzony czytelnik dostrzeże zatem z łatwością, że powyższem oświadczeniem, w przedmowie do mojego „Zarysu“ stanowczo i otwarcie wypowiedzianem, postąpiłem sobie bez żadnego podstępu, bez zamiaru przyswajania sobie i przywłaszczania cudzych zasług. Książka moja wychodziła zeszytami. I tak pierwszy zeszyt, obejmujący dzieje literatury naszej od początków do Ign. Krasickiego, ukazał się w r. 1868 drugi (do A. Mickiewicza) w r. 1869, trzeci i ostatni w r. 1872. Już do pierwszego zeszytu dołączona była wspomniana przedmowa, w której wypowiedzianem zostało to wszystko, co tu przytoczyłem. Ktokolwiek czytał mój „Zarys“, ten zapewne musiał odczytać słowa wstępne; przedewszystkiem musieli uczynić ci wszyscy, którzy zajmowali się recenzją mojej książki. Dla nich przynajmniej nie mogło być tajnem, czy w ogóle i z jakich źródeł czerpałem wiadomości przy układaniu mojego dzieła. A przecież od r. 1868 aż do obecnej chwili żaden z moich krytyków, ile wiem, nie wystąpił z takim zarzutem, jaki wyczytałem w Nr. 8 „Tygodnia“, choć byli to recenzenci nietylko zamiejscowi, np. krakowscy i warszawscy, ale i tutejsi, lwowscy! Snać oświadczenia moje, na które się w tej obronie mojej powołuję, były dla nich dostateczną rękojmią uczciwości mojej pracy.

Dziś to we Lwowie niestety nie wystarcza — i muszę się bronić przeciw zarzutowi plagjatu! Sprawa ta, nie taję, przedstawia nie małe trudności, jeżeli się zważy, że chodzi tu nie o dzieło drukiem ogłoszone, ale o rękopis, z którego to plagjat popełnić miałem. Najkompetniejszym sędzią byłby w tej sprawie sam p. dr. A. Małecki, gdyby wykazał, że nietylko jego podział historji literatury polskiej podałem w książce mojej za własny pomysł, lecz że także to wszystko, co się w „Zarysie“ moim zawiera, jest tylko prostym wyciągiem z ówczesnego jego rękopisu, to jest rękopisu, podług którego wykładał historję literatury polskiej w tutejszym uniwersytecie, w latach od 1862 do 1866. Pan dr. A. Małecki, jako badacz wszelkich pojawów w zakresie ojczystego piśmiennictwa, zna zapewne także mój „Zarys“, przypuszczam nawet, że poznać go musiał w chwili, kiedy tenże wraz z przedmową i z całym podziałem na epoki i okresy pojawił się w pierwszym zeszycie. Czemuż nie wystąpił wtedy lub później ze swojemi prawami autorskiemi? Cóż było łatwiejszego, jak po ogłoszeniu pierwszej części mego „Zarysu“ tj. w roku 1868 choćby tylko oświadczyć publicznie, że to wszystko, co się zawiera w tym zeszycie, jest owocem—kradzieży literackiej? Gdyby się był w tym czasie pojawił publicznie choćby najdelikatniejszy zarzut w tym duchu, ale zarzut uzasadniony, czyż nie byłby on zdolnym skłonić mnie do zaniechania dalszej pracy, a nawet do zniszczenia i zatarcia śladów przedsięwzięcia, które wobec takiej inkryminacji nie innem, jeno tylko zbrodniczem i haniebnem wydawaćby się musiało?

Najkompetentniejszy sędzia w sprawie rzekomego plagiatu nie odezwał się jednak wcale....

Cóż mi zatem uczynić wypada wobec hańbiącego obwinienia? Zdaje mi się, że najwłaściwszem będzie podać do publicznej wiadomości przedewszystkiem źródła, z których przy pisaniu mojego „Zarysu“ korzystałem, a następnie skreślić szkic tego wszystkiego, co w ciągu uniwersyteckich moich studjów słyszałem z ust mego profesora, p. dr. A. Małeckiego. Czytelnicy potem niech orzekną surowo, ale według sumienia.

Najpierwszą i niezaprzeczenie najważniejszą kwestją jest podział historji literatury na epoki i okresy. Przypominam, że w przedmowie do „Zarysu“ podałem wyraźnie źródło, z którego przyjąłem ten podział. Powiedziałem tam także, że podział ów p. dra Małeckiego znany już był wówczas także szerszej publiczności, tj. że przestał być tylko tyle publicznym, ile mógł się nim mienić jako wykładany z publicznej katedry. W przypisku do wspomnianego oświadczenia umieściłem następującą uwagę: „Najdokładniej rozwinięte zostało (zapatrywanie się p. dra Małeckiego na podział historji literatury) w krytyce Kursu Literatury dra Nehringa, umieszczonej w lwowskim Dzienniku literackim z r. 1867“.

Chodzi teraz przedewszystkiem o to, ażeby szanowni czytelnicy przekonali się, że w pomienionej krytyce główne zasady przyjętego w moim „Zarysie“ podziału na epoki i okresy istotnie i jasno zostały wypowiedziane. Nie podobna mi tutaj przepisywać całej tej dość obszernej rozprawy, z której atoli końca dopiero się pokazuje, że zapatrywanie co do podziału literatury naszej w niej wyłuszczone jest zapatrywaniem p. dra A. Małeckiego. Ograniczę się zatem na przytoczeniu główniejszych ustępów, odsyłając ciekawych do numerów 16, 17, 18 i 19 Dziennika literackiego z r. 1867.

Recenzent Kursu literatury dra Nehringa bierze za złe krytykowanemu autorowi, że w dziele swojem przyjął „znany powszechnie“ podział Lesława Łukaszewicza, a dalej tak pisze:

„Przychodzimy do pierwszej epoki. Wiadomą jest rzeczą (choć nie tak upowszechnioną jak podział na okresy L. Łukaszewicza), że cechą najwybitniejszą całej europejskiej literatury wieków średnich aż do XV stulecia jest scholastycyzm. Polska ulegająca wpływom zachodu, przyjmująca odeń wiarę i oświatę, przyjęła z temiż razem i ów system scholastyczny. Przewaga ta scholastycyzmu, spowitego w barbarzyńską łacinę, trwa aż do odrodzenia się klasycznej literatury i do rozgorzenia walk religijnych, a więc przeciąga się głęboko w drugą połowę XV wieku. Założenie akademji krakowskiej nie wywołało u nas żadnej stanowczej zmiany w literaturze, nie sprowadziło jej na odmienne tory. Założenie tedy akademji krakowskiej może stanowić w historji szkół epokę, ale w historji literatury polskiej jest tylko faktem, który na jej odrodzenie, na zmianę jej kierunku żadnego nie wywiera wpływu, i dlatego za początek nowej epoki w żaden sposób uważanym być nie może“.

Czyż potrzebuję wyjaśniać, że mowa tu o pierwszej epoce dziejów piśmiennictwa naszego, rozpoczynającej się od chwili przyjęcia przez naród polski „wiary i oświaty Zachodu“ tj. religji i cywilizacji chrześciańskiej, a przeciągającej się głęboko w drugą

*) Pragnąc aby pismo nasze było rzeczywistym obrazem życia, otwieramy łamy jego poważnej dyskusji nad rozmaitemi sprawami, które w niem poruszamy. Redakcja.

połowę XV wieku? Autór recenzji podaje także główną charakterystyczną cechę tej literatury, scholastycyzm, i powiada dalej, że założenie akademji krakowskiej (ponownie w r. 1400) nie może być uważanem za zorzę nowej epoki. Ale fakt sam stanowić może przecież podstawę do podziału tej epoki na niższe kategorje — na okresy! (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Angielska.

— A. Strange World. By Miss Braddon — London. Maxvelle 1875.

Angielskie romanse sensacyjne, piszą się mniej więcej według jednej modły. Najczęściej dwie grupy ludzi, z których jedna uczciwa, a druga zbrodnicza, walczą z sobą przez dwa tomy, a dopiero w drugiej połowie trzeciego zacni są poznani i nagrodzeni, a źli zdemaskowani i ukarani. Intryga wikła się do koła jakiejś zbrodni, o którą posądzają głównego bohatera. Ten potwarzany nie wie co począć, ale w końcu przychodzi mu w pomoc autor, i stawia go na tej wysokości, na której od początku pragniemy go widzieć. Powyższy romans p. Braddon, która w Anglji należy dziś do najzdolniejszych autorek, jest także romansem sensacyjnym, pisząc jednak tak znakomicie go wykończyła, że wcale dziwić się nie będziemy, jeśli utwór ten doczeka się wkrótce kilkunastu wydań. Braddon ma talent, wystarczający do napisania głębszej powieści społeczno-obyczajowej, czego dowody niejednokrotnie już złożyła, ale ponieważ czytająca publiczność nietylko u nas, ale w całym świecie zatraciła zmysł pojmowania prawdziwego piękna, przeto na wzór powieściopisarzy francuskich, zaczęła i ona pisać romanse sensacyjne, które zamiast nieśmiertelności zapewniają pokup i majątek.

— Strong as Death. By Mrs. Charles Montagne Clarke, London 1875.

Wynaleźć nową sytuację dla bohatera, oto cel, za którym przepadają autorowie, chociaż rzadko któremu udaje się go osiągnąć. Czy pani Montagne Clarke była szczęśliwsza czy genjalniejsza, nie wiemy; faktem jest atoli, że jej bohater w r. 1798. przestał żyć, ma się rozumieć w sposób gwałtowny, a potem ożył, aby za to nieszczęście tem lepiej być potem wynagrodzonym przez autorkę.

— Vanessa. By the Autor of „Thomasina." London 1875.

W powieści tej wiele życia i uczucia. Z pomiędzy licznych bohaterek, jedna tak jest szczęśliwie pokierowana łaskawemi losami, że może służyć za wzór dobrze wychowanym Angielkom. Dla tej zalety, książka ta zasługuje, by ją uważnie odczytały młode nasze panienki, które odpowiednio władają językiem angielskim.

— The Streits of Malacca, Indo-China and China. By J. Thomson: London 1875.

Autor dzieła powyższego, fotograf z zawodu, spędził dziesięć lat między ludami Azji południowej, a podróż swoją pełną bystrych spostrzeżeń i nieposolitej znajomości stosunków opisał teraz językiem pięknym i obrazowym. Najobszerniejszą jest część poświęcona Chinom, najbardziej zaś zajmującą opowieść o przygodach autora między dzikiemi plemionami na Formozie. Ilustracje w dziele są świetne. W ogóle całe dzieło należy do najlepszych, jakie się pojawiły w ostatnich czasach w literaturze podróży.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Na scenie lwowskiej rozpoczęła w zeszłą środę „Hugenotami" szereg gościnnych występów, była śpiewaczka opery włoskiej w Warszawie pani Casanowa de Cepeda. Pani C. posiada piękny i bardzo silny głos mezzo-sopranowy z cechą prawie altową o obszernej skali i wyborną szkołę. Jest ona *par excellence*, śpiewaczką dramatyczną, nie usiłuje wywołać efektów za pomocą pasażów koloratury ale całą wagę kładzie na wyborną deklamację i prześliczne frazowanie. Dodać jeszcze należy, że pani C. gra jak pierwszorzędna artystka dramatyczna. Lepszej Walentyny w „Hugenotach" od pani C. nie słyszeliśmy od czasu, gdy na naszej scenie występowała pani Ferenci. Jak się dowiadujemy, pani C. wystąpi u nas jeszcze w kilku operach przeważnie niemieckich kompozytorów.

⚔ Najnowszą pracą rzeźbiarską Teofila Lenartowicza jest płyta nagrobkowa na cmentarzu we Florencji. Wyobraża ona Matkę Boską trzymającą Dzieciątko Jezus, stojącą na obłokach, z pomiędzy których wynurzają się twarzyczki aniołów. Włosi mówią, że oblicze Marji co do piękności nie ustępuje Madonnom Rafaela. Płaskorzeźba ta jest wykonana z białego marmuru.

⚔ W Berlinie wyszła w ostatnich czasach ważna dla amatorów książka o zbiorach rycin królewskich pruskich muzeów (Die Kupferstichsammlung der Königl. Museen in Berlin, beschrieben von I. E. Wessely). Dowiadujemy się z niej o wielu portretach znakomitości polskich, znajdujących się w tych muzeach. Spotykamy tam np. rycinę Zylvelta: Nic. Arnoldus Polonus (1680); Somera portret króla Michała; Verkoliego portret Augusta III; Jakóba Cherreau: Marie princesse de Pologne; Lamessina portret króla Stanisława i Katarzyny Opalińskiej itd. W muzeum królewskiem w Berlinie znajduje się także śliczny portret Zofji Wittowej-Potockiej.

— Dr. Bilińskiego, profesora uniwersytetu lwowskiego, rozprawa niemiecka „Die Luxussteuer" została przychylnie oceniona przez fachowe pismo krytyczne „Literarisches Centralblatt" w Nr. 12. z. m. 20. marca r. b.

— Hrabia Władysław Plater, założyciel Muzeum w Rapperswylu, ustanowił Zarząd tego Muzeum na wypadek swojej śmierci, temuż zarządowi poruczając kierownictwo rapperswylskiego Muzeum, fundusze na jego utrzymanie, wybór urzędników i utrzymanie nadanego kierunku narodowego tej instytucji. Do Zarządu powołał hr. Plater następujące osoby: J. I. Kraszewskiego, Agatona Gillera, Stefana Buszczyńskiego i Bukowskiego. W razie śmierci którego z członków Zarządu pozostali dobierają nowego na miejsce zmarłego.

— Pan Chodźko, reżyser opery komicznej w Warszawie, zamierza niebawem wystawić jednoaktową operetkę p. n. „Co to jest miłość." Próby z tej operetki rozpoczną się natychmiast po dokonaniu przekładu przez p. F. Schobera.

— Komedję Fredry Ojca „Zemstę za mur graniczny" przełożono na język rossyjski. Tłumaczem jest p. Swieczyn.

— Pamiętniki Garibaldego opracowywane obecnie i dopełniane przez jedną z jego przyjaciółek, wyjdą wkrótce na widok publiczny. Wtajemniczeni zaręczają, że w pamiętnikach tych zawiera się bardzo wiele interesujących a nawet nowych szczegółów: w ogólności zaś są one zbiorem wspomnień i refleksyj, pełnym jednak ciekawej charakterystyki scen i ludzi współczesnych.

Podróże, odkrycia i komunikacje.

— Z Carini we Włoszech donoszą o znalezieniu tam mnóstwa „słoniów kopalnych". Od wielu lat już uczeni i badacze uważali kotlinę palermitańską za najwłaściwsze miejsce do poszukiwania tych przedhistorycznych zwierząt. Obecnie jaskinia przy Puntali, niedaleko Carini, bogato w rozmaite fossilia zaopatrzona, potwierdziła powyższą obserwację badaczy. Pokład tych kopalnych osobliwości odkrył wieśniak jakiś przypadkiem, przy kopaniu cysterny dla siebie. Dyrekcja palermitańskiego muzeum poczęła rozkopy i wydobyła już dotychczas znaczną ilość szczątków przedpotopowych słoni. Wystawiono je na widok publiczny w Palermo. Roboty trwają bez przerwy.

— Przy ujściu Sekwany, niedaleko od Hawru złowiono niedawno kawał drzewa kształtu kostkowego, długi prawie na stopę z wydrążeniem wewnątrz w którem znajdowała się butelka z bardzo grubego szkła. W butelce tej zaś, po otwarciu, znaleziono maleńką karteczkę, z następującym, widocznie bardzo świeżym jeszcze napisem: „Wyprawa podbiegunowa księcia Napoleona. Badanie prądów morskich w dniu 25. lipca 1860 pomiędzy 73 stopniem płnc. szerok. a 12 wschodniej dług." Wyprawa owa codziennie wyrzucała takie kawałki drzewa w morze, ażeby następnie znalezienie ich było wskazówką kierunku w którym podążają rozliczne prądy morskie. Obecnie złowiony kawałek jest od lat 15 pierwszym dopiero z owych rzuconych w morze przez ekspedycję ks. Napoleona i pojawienie się jego na północnem francuzkiem wybrzeżu wskazywać się zdaje, że jeden z prądów wychodzących z mórz polarnych zbacza w Morze Północne a następnie przez cieśninę Kaletańską i kanał La Manche przeciąga.

— Tak mało dotychczas zbadane południowo-zachodnie okolice Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej przedstawiają, jak się obecnie pokazuje, nader bogate pole do odkryć dla archeologów i dziejopisarzy. Przy sposobności topograficznych i geologicznych badań i pomiarów, mianowicie na terytorjach Arisona, Neumerico i Colorado, odnaleziono szczątki miast i wiosek, niewątpliwie więcej niż 1000 lat wieku mających. Budowle w nich okazują znaczny rozwój architektury; wiele hieroglifów i napisów na świątyniach poświęconych słońcu i innych budowlach oczekuje jeszcze na swego Champoliona. W Arizona wreszcie odkryto szczątki starożytnego pokolenia, tak nazwanych Moquis'ów, zgoła różnego od zamieszkujących daleki zachód Indjan. Pomiędzy tymi Mosquis'ami żyją dotąd jeszcze tradycje, których dokładne zbadanie naprowadza na ślad wielkiej wędrówki ludów Nowego świata, współczesnej z takąż samą europejską w I. wieku po narodz. Chr. Moquisy zostawali także niegdyś w stosunkach z meksykańskimi Aztekami.

— Wyprawa angielska wysłana przez rząd indyjski pod wodzą półkownika Browna, w celu przebicia się przez królestwo Birman do południowo-zachodnich Chin i zbadania ich, napadniętą została w Mauwine na terytorjum chińskiem przez kilka tysięcy chińczyków i wielką ilość wojowników z nadgranicznych pokoleń; przyczem zginęło wielu członków ekspedycji, a reszcie tylko z pozostawieniem bagażów ujść się udało.

— Stowarzyszenie pływaczy w łódkach pod nazwą „Yacht Klub" zawiązuje się obecnie w Warszawie. Flaga klubu warszawskiego podobna będzie do flagi takiegoż stowarzyszenia w Petersburgu, z dodatkiem tylko herbowej warszawskiej Syreny.

— „Gazeta Handlowa" warszawska donosi, że podano o koncesję do Petersburga na paropływy łańcuchowe mające kursować po Wiśle. Koncesja ta udzieloną została i przedsiębiorstwo wkrótce w ruch wejdzie. Również otrzymano koncesję od rządu pruskiego na zaprowadzenie takiejże samej żeglugi (Kettenschifffahrt) od granic Gdańska.

Statystyka.

— W tych dniach odbyło się w Londynie doroczne zebranie urzędników kolei żelaznych angielskich. Z zagajającej przemowy przewodniczącego zgromadzeniu wyjmujemy parę następnych dat statystycznych: Urzędników na kolejach żelaznych angielskich jest obecnie 300,000; w r. 1874 przewieziono na tychże kolejach 445 miljonów osób; z osób które poniosły śmierć w skutek wypadków na kolejach, przypada 1 na 11 miljonów podróżnych. W przerażającem atoli świetle przedstawia się ten stosunek śmiertelności między urzędnikami, z których, na podaną powyżej ogólną ich cyfrę, w ciągu tegoż samego roku zginęło w skutek wypadków 773, a 1,171 poniosło mniej więcej ciężkie uszkodzenia.

Gospodarstwo.

— W południowych Włoszech ma być ciekawe doświadczenie zrobione w roku bieżącym. Przekonano się, że grunt w Sycylji jest bardzo podobny do japońskiego, a ponieważ i klimat jest prawie ten sam, powzięto zatem myśl, czy herbata nie dałaby się zaaklimatyzować na ziemi włoskiej. Konsul japoński przesłał już władzom włoskim nasienie rozmaitych gatunków herbaty, wraz z szczegółową instrukcją co do jej uprawy. Próba odbywać się będzie nietylko w Sycylji ale i na stałym lądzie. Inicjatorowie tej myśli utrzymują, że nietylko Włochy, ale i inne kraje europejskie, mianowicie Hiszpanja i Grecja, są w położeniu sprzyjającem uprawie herbaty. Może ona nie być taką zupełnie jak japońska, ale jest to los wszystkich roślin egzotycznych w Europie, co jednak uprawie ich nie odejmuje wartości. Wiadomo np. że winna latorośl przesadzona z Madery do Sycylji, daje wino nie zupełnie podobne smakiem do madery, ale mimo tego wyborne.

ROZMAITOŚCI.

— Tam, kędy Stany Zjednoczone w północnem przedłużeniu swojem dotykają Kanady, granicę stanowi łańcuch obszernych, połączonych ze sobą jezior, razem tworzących krainę całkiem dziką, gdzieniegdzie tylko przez napół wymarłe pokolenia Indjan zamieszkaną, po nad którą panuje kilka rozrzuconych fortów. W lecie gdy lazurowa powierzchnia wód ożywi się statkami wszelkich rodzajów, od parowca szydzącego z burz aż do skromnej łódki, gdy zielone brzegi z całą rozliczną i bogatą panoramą widoków swoich, oblanych słońcem, jak lśniący pas przewijać się poczną — widok to pełen zachwycających obrazów; lecz w zimie, kiedy lodowa powłoka na sto mil angielskich spokojne wody okuje; sypiący bez przerwy śnieg białym, równym całunem pokryje ląd i jeziora — mało gdzie znaleźć się może bardziej beznadziejna i ponura pustynia, jak w tych okolicach, a szczególniej w północnej połowie tej jeziorzystej krainy. Jazda wodna, stanowiąca jedyny środek komunikacji pomiędzy miejscowościami rozłożonemi na wybrzeżu i rozrzuconemi na północy osadami a światem cywilizowanym, w zupełności ustaje; wszelkie życie zewnętrzne cofa się i skupia w maleńkich, ukrytych punktach, który każdy swoją ojczyzną nazywa — i sam Indjanin nawet rzadko tylko może opuścić swoją wygrzebaną w ziemi, zimową chatę, kędy obok ogniska i wśród zgromadzonych środków do życia czas śniegów i zawiei zimowych przepędza. A tam, najdalej na północy, gdzie ta samotność, to odcięcie od wszelkiego życia w całej ponurości swojej uczuć się dają, stoi kilka samotnych fortów, każdy z małą załogą, które musiałyby całą długą zimę bez najmniejszego stosunku z resztą świata przeżyć, gdyby nie równie osobliwy jak niebezpieczny środek komunikacyjny, którego używają dla zetknięcia się w tej porze z oddalonemi miejscowościami. Tym środkiem są „psie poczty". Poczty takie składają się najczęściej z dwojga lekkich sanek, ciągniętych przez dwa lub trzy silne psy (najbardziej poszukiwane są z rasy tak nazwanej eskimoskiej,) i z dwóch pocztyljonów, białego i Indjanina, albo też tylko z dwóch Indjan godnych zaufania. I zaiste potrzeba całego przyrodzonego sprytu i wytrwałości tych napół dzikich ludzi, połączonej z instynktem psów, aby bez zbłądzenia drogę w tej bezgranicznej pustyni lodów i śniegów wynaleźć i nagle pojawiającym, się lub zaledwo tylko przeczuwanym niebezpieczeństwom takiej podróży poradzić. Mały zapas suszonych prowjantów, broń z potrzebną ilością amunicji i siekiera stanowią cały bagaż pocztyljonów, którzy zasiadają na sankach obok pak z listami. Oprócz tego biały, jeżeli jest pocztyljonem, bierze jeszcze z sobą kieszonkowy kompas. Psy dostają tęgą porcję surowego mięsa; poczem dwaj ludzie, zabezpieczeni o ile możności od zimna, rozpoczynają swoją nieraz więcej niż 200 mil ang. długą drogę przez lody jezior. Szare niebo rozpościera się nad niezmierzoną białą płaszczyzną, psy klusują rzeźwo z ciężarem swoim po stwardniałym śniegu; trzy dni wędrowcy nasi są już w drodze, starając się wciąż trzymać blisko brzegu, o tyle przynajmniej, o ile pozwala na to potrzaskany nieraz, lub góry całe formujący lód; noce przepędzają pod osłoną jodłowego lasu, na twardej pościeli ze zrąbanych młodych gałązek iglastych, pomiędzy dwoma, nieprzerwanie płonącemi ogniskami. Naraz oddziela ich szeroka, głęboko w ląd zachodząca ławica lodu od wybrzeża, i potrzebują iść dzień cały nim dojdą znowu do lądu. Biały dobywa swego kompasu, aby dokładnie zaznaczyć sobie kierunek drogi. W godzinę nie widzą już nic, okrom równej, nieprzejrzanej okiem płaszczyzny lodów i jasnego nieba, w które Indjanin, ściągnąwszy brwi, z natężoną uwagą wpatrywać się zaczyna. Jest coś w powietrzu i w zabarwieniu widnokręgu, co mu się nie podoba. „Wielkie kroki trzeba nam robić, jeżeli chcemy nie zbić się prostej drogi" odzywa się po długiej obserwacji... „Tak czyńmy!" odpowiada na to drugi, lekko skinąwszy głową. On sam nie może odkryć nigdzie złej wróżby, ale zna towarzysza swojego i dla tego milcząc, podwójnemi krokami spieszy naprzód. O południu olśniewający błękit nieba, staje się brudno szarym, słońce staje jakoby w zawoju ze mgły; Indjanin na ten widok występuje przed swój zaprzęg i przyspiesza kroku, nie odwracając już ani na chwilę oczu od mroczniejącego coraz bardziej horyzontu; po za nim idący biały, co kwandrans radzi się swego kompasu, i widzi, że dotąd nie zmienili kierunku, ale pędzą prosto, jak wyrzucona z łuku strzała. Mija godzina znowu. Śladu słońca już odkryć nie można; lekki, ledwo dający się uczuć wiaterek podniósł się. Nagle Indjanin zatrzymuje się, wyciągając rękę do swego towarzysza, — biały delikatny płatek śniegu upadł na nią. Poczem z głęboko znaczącem poruszeniem głowy rusza dalej, przyspieszając kroku tak, że wkrótce wpada w osobliwy, właściwy Indjanom kłus; psy podążają za nim tak chętnie, jakgdyby czuły instynktem, że o wielkie rzeczy tu chodzi. A tymczasem z kwadransa na kwadrans coraz ciemniej się robi w około, choć wieczór daleko jeszcze; śnieg pada gęstszy, wiatr pociąga ostrzejszy, aż wreszcie zamienia się w wicher, w orkan wyjący, podnosi masy śniegu, wirujący tuman z nich czyni, zasypuje z trudem posuwających się naprzód wędrowców, oślepia ich prawie a trwożnie wytężającym się psom i saniom zupełnem zasypaniem grozi. Utrzymać jakikolwiek kierunek staje się już niemożliwą rzeczą, powietrze zdaje się być już tylko jednym odurzającym zmysły tumanem śniegu; siły wyczerpują się w tej bezustannej walce przeciw zdziczałym żywiołom. A jednak tylko w niepowstrzymanem, choć powolnem posuwaniu się naprzód przedstawia się jakakolwiek możliwość ratunku. Taka burza trwa, nie słabnąc ani chwili, częstokroć przez doby całe. Nagle zatrzymuje się Indjanin w biegu... „Nic już nie widzę!" — woła z wytężeniem do napół nieprzytomnego swego towarzysza, — „psy same tylko mogą jeszcze odnaleźć drogę; dajmy im pełną wolę; dla nas przyczep linę do sanek, chwytajmy się jej i dalej za niemi!" Biały odgadł raczej aniżeli usłyszał słowa swego wspólnika doli; napół instynktywnie idzie za jego radą. Lina już przywiązana. Psy czując, że je zostawiono samym sobie, natychmiast zmieniają kierunek, zwracają się tyłem do wiatru, i z całym pośpiechem, na jaki im zmęczenie pozwala, ruszają naprzód. Za nimi, trzymając się liny, pędzą na oślep pocztyljoni. Co czynią, nie wiedzą już; nogi ich tylko mechanicznie spełniają swój obowiązek, wzrok i słuch, wśród ryku i zamętu żywiołów stracili. Po długim, długim biegu czują wreszcie, że ziemia im pod stopami twardnieje; po drgnięciu liny w rękach poznają, że sanki podskakują z gwałtownością, którą jedynie twarde drzewo Hikory wytrzymać jest zdolne; orjentują się wreszcie, że muszą być na nierównym lodzie blisko brzegu; rozbudzona na nowo nadzieja dodaje im sił do przezwyciężenia ostatnich trudności. Długo jednak jeszcze oczy ich nie widzą nic więcej w około siebie, okrom półciemnej nocy. Nagle zatrzymują się sanie i jednocześnie burza zdaje się w bezpośredniej bliskości podróżnych ucichać. Gdy wreszcie z trudem i po długim dopiero czasie oczy ich rozpoznają wrażenia zewnętrzne, widzą przed sobą biczowany burzą las jodłowy, pod którego ochroną psy, dysząc, z wywieszonemi językami się pokładły. Życie małej ekspedycji uratowane na chwilę! Wiernie psy ostatniem wytężeniem sił zaciągają jeszcze sanki pod gęstszą drzew osłonę, poczem następuje chwila pierwszego niezbędnego wytchnienia. Chociaż jednak znużenie potężnie do snu kłoni, oprzeć mu się trzeba, jeżeli się nie chce stać znowu pastwą ledwo uniknionej śmierci. W największej gęstwinie, oczyszczają kawałek miejsca, otaczają je gatunkiem ściany z gałęzi jodłowych a również układają z nich grubą nieprzenikliwą pokrywę na zaśnieżonej ziemi. Rozpalić ogień, przy takiej burzy niemożliwą jest rzeczą; psy więc przywołane zostają do dobrze osłoniętej kryjówki i pozostają tam, dzieląc nocleg ludzi i przyczyniając się do ogrzania tego zakątka. W krótce tedy w osłoniętym a burzą otoczonym zakątku poczyna być przyjemniej a wtedy i ludzie i zwierzęta oddają się niezbędnemu spoczynkowi. Trzy dni jednak trwa zawieja. Środki pożywienia w znacznej części już zużyte; potrzeba było wyrąbać na trzy stopy głęboki dół w lodzie dla dostania troszeczki niezbędnej wody. Wreszcie wypogadza się nieco; kilka dzikich królików, po długiem i bezowocnem szukaniu, staje się zdobyczą pocztyljonów i zajmuje miejsce zużytych zapasów. Dzielni ludzie ruszają w dalszą drogę. Powyżej opisana burza nie jest jedynem i najwyższem niebezpieczeństwem jakie, „poczcie psiej" grozi. Stokroć gorzej, jeżeli ociepli się nieco przed burzą. Wówczas to morze jezior poczyna nagle pęta lodowe strząsać ze siebie. Z gromowym, daleko rozchodzącym się trzaskiem, pęka lód od brzegu, przepuszczając wodę wytryskującą w olbrzymich snopach i fontannach. Wszelka żywa istota, która się nie zdoła wczas na ląd stały wydostać, ma odciętą bez ratunku drogę do brzegu. A tymczasem coraz szerzej lód rozpuszcza i ruszać się zaczyna, huk i trzask słychać w około... z szybkością błyskawicy zdaje się ten pierwszy strzał cały przestrzeni jezior udzielać. W kilka godzin, nieruchoma niedawno, martwa płaszczyzna, przedstawia chaos wzburzonych, szalejących fal i z kier z trzaskiem druzgocących się jedna o drugą. W tym przypadku ocala pocztyljonów tylko bliskość nielicznych wysepek, jeżeli się do nich wczas jeszcze dostać zdołają; wysepki te jednak są bezludne i śmierć na nich czeka — tylko w innej postaci: śmierć głodowa. Na szczęście jednak dla tych pełnych poświęcenia ludzi, niebo dało im cudowny instynkt poznawania i przeczuwania z tysiącznych oznak zbliżającego się roztaju lodów, i uniknięcia tym sposobem tego rodzaju niebezpieczeństwa; przeciw innym zaś mają szaloną odwagę, spryt dzikich prawie ludzi, doświadczenie i cudowny instynkt psów, wiernych towarzyszy zuchwałych ich podróży.

— W Paryżu stanął gruby zakład między hr. Esterhazym i porucznikiem Rischof z Wiednia, z jednej, a panem Soleillet, podróżnikiem po Sacharze, z drugiej strony. P. Soleillet podejmuje się w 15 dniach odbyć pieszo podróż z Paryża do Wiednia. Ułożono się, że 15 września r. b., wyruszy z Paryża, a 1 października w południe stanie na placu św. Szczepana. W drodze towarzyszyć mu będzie powozem osoba wybrana przez jego przeciwników. P. Soleillet utrzymuje, że 80 kilometrów zrobić dziennie, to nic wielkiego, i twierdzi, że w Afryce robił na dzień i po 120 kilometrów.

— Przed kilkoma dniami wyciągnięto z Rodanu przy Bellgarde, miasteczku francuzkiem, w pobliżu granicy szwajcarskiej, zwłoki bogato ubranej, młodej i cudownej piękności kobiety. O pochodzeniu nieszczęśliwej żadnej dotąd nie ma wiadomości, oprócz, że mieszkała niedawno w jednym z hotelów w Vivis. Przy trupie w sukniach znaiezione szkatułkę, w której znajdował się list, a w tym między innemi następujące słowa: „Umieram dobrowolnie, mam lat 18. Rodzice moi zajmują w świecie wysokie stanowisko; ojciec mój nosi krzyż legji honorowej. Wychowano mnie w jednym z protestanckich pensjonatów pewnego wielkiego miasta francuzkiego; przed rokiem wyszłam z zakładu i poznałam młodego człowieka, Juliusza de... Młoda i bez doświadczenia, z ufnością powierzyłam mu swój los, a przed kilkoma dniami ożenił się z inną. Niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam. Proszę tych, którzyby zwłoki moje odnaleźli, ażeby nie poszukiwali mojej rodziny, która ztąd daleko mieszka.

Odpowiedzi Redakcji.

F. P. w Tarnopolu. Okładka do pierwszego tomu dzieł J. Dzierzkowskiego będzie załączona do tomu II, który wyjdzie dopiero 10 kwietnia, a to z powodu świąt i opóźnienia się przesyłki papieru. Tomy następne będą wychodziły najregularniej co 6. tygodni.

Lena... Dziękujemy za przyjacielskie rady i dołożymy starań aby się do nich w przyszłości zastosować.

K. Z. w Husiatynie. Prosimy przysłać pod adresem redaktora naszego pisma.

H. K. w Cz. Jesteśmy pewni, że wkrótce zmieni pan swoje zdanie. Dodatnie, prawdziwie dodatnie charaktery wkrótce wystąpią na widownię, i tem piękniej będą odbijały od dotychczasowego tła ciemnego. W przyszłym kwartale, rozpoczniemy druk jednej z najpiękniejszych powieści angielskich.

J. w Wenecji. Gdyby forma więcej była wyrobiona, nie wahalibyśmy się zaraz umieścić. Tymczasem serdeczne dzięki za łaskawą pamięć.

Treść Nr. 13.

Alleluja!; *Byle wyżej*, powieść Michała Bałuckiego (c. d.); *O ilustracjach naszych poetów* przez W. I. Wdowiszewskiego (c. d.); *Z wędrówek po Anatolji* przez W. Koszczyca (c. d.); *O naturze i harmonji barw* przez St. Kramsztyka (c. d.); *Tajemnicza wyspa*, przez Juljusza Verne; (c. d.); *Pan Halski*, balada B. Czerwieńskiego; *Idealiści* powieść Jana Lama (c. d.); *Do ****, wiersz Marji B.; *Pogadanka* Jana Lama; *Piśmiennictwo polskie* przez Dr. K. Libelta (c. d.); *Kobiety na uniwersytecie* przez Dr. E. Burzyńskiego; *Z natury — Djament* (c. d.), *Polemika*, przez A. Kuliczkowskiego; *Bibliografja*. — *Wiadomości ze świata* — *Rozmaitości*. — *Od Redakcji*.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).